

# **GWIEZDNE WOJNY**

## **UCZEŃ JEDI**

### **Narodziny Mocy**

# GWIEZDNE WOJNY

## *Narodziny Mocy*

*Dave Wolverton*

Tłumaczyła Krystyna  
Kwiatkowska

# ROZDZIAŁ 1

Ostrze miecza świetlnego ze świstem przecięło powietrze. Obi-Wan Kenobi nie mógł widzieć czerwonego błysku. Szczelna przepaska uciskała mu oczy. Użył Mocy, by zrećźnie zrobić unik.

Żar miecza przeciwnika o mało go nie spalił. W powietrzu rozszedł się zapach jak po uderzeniu pioruna.

- Dobrze! - krzyknął Yoda spoza maty. - Dalej! Zaufaj swoim uczuciom!

Słowa zachęty dodały mu siły. Był wysokim, silnym dwunastolatkiem i mogło się wydawać, że zawsze będzie miał przewagę nad rówieśnikami. Ale siła i solidna postura nie na wiele zdają tam, gdzie liczy się szybkość i zwinność. Bez tego nawet Mocy nie da się wykorzystać w pełni.

Obi-Wan uważnie wsłuchiwał się w odgłosy świetlnego miecza przeciwnika, jego oddech i skrzypienie butów na podłodze. Wszystkie te dźwięki odbijały się głośnym echem w małym, wysoko sklepionym pomieszczeniu.

Chaotyczna mieszanka rozrzuconych po podłodze przedmiotów dodała do tego ćwiczenia jeszcze jeden

element, musiał również używać Mocy, by je wyczuwać. Na tak niepewnym gruncie łatwo było stracić oparcie dla nóg.

Za plecami Obi-Wana Yoda ostrzegał:

- Trzymaj gardę wysoko!

Chłopak posłusznie podniósł broń i sparował cios z taką siłą, że miecz przeciwnika trzasnął o podłogę. Tamten cofnął się o krok i wpadł w stertę kłoców. Po chwili jednak Obi-Wan znów usłyszał śpiew miecza; przeciwnik przypuścił ostatni, rozpaczliwy atak, dyktowany irytacją i zmęczeniem. Dobrze.

Gorąco przesączające się przez przepaskę parzyło w oczy. Obi-Wan zapanował nad tym uczuciem, wyobrażając sobie siebie jako prawdziwego Rycerza Jedi, walczącego z kosmicznym piratem... zTogorianinem o kłach tak długich jak palce Obi-Wana. Oczami wyobraźni widział opancerzone siwory łypiące na niego małymi zielonymi szparkami oczu. Ich pazury mogły z łatwością rozszarpać człowieka na strzępy.

Ta wizja dodała mu energii, pomogła pokonać lęk. W jednej sekundzie wszystkie mięśnie wypełniła Moc. Przepłynęła przez jego ciało, dając mu zręczność i szybkość, której potrzebował.

Obi-Wan obrócił ostrze do góry, by sparować następny cios. Miecz przeciwnika zaśpiewał i wirując, upadł na ziemię. Obi-Wan podskoczył wysoko i robiąc salto w powietrzu, pchnął prosto tam, gdzie u Togorian znajduje się serce.

- Aaaa! - zawył tamten, zaskoczony i wściekły, kiedy

poczuł dźgnięcie w szyję. Gdyby to był prawdziwy miecz Jedi, nie przeżyłby tego ciosu. Ale uczniowie w Świątyni posługiwali się jedynie bronią szkoleniową, o małej mocy. Dotknięcie miecza zostawiało po sobie tylko coś w rodzaju ognistego pocałunku. Każdy z uzdrowicieli poradzi sobie z tym bez trudu.

- To był przypadek! - wrzasnął zraniony chłopak. Aż do tego momentu Obi-Wan nie miał pojęcia, z kim właściwie walczy. Wprowadzono go do sali ćwiczeń z zawiązanymi oczami. Ale teraz rozpoznał ten głos: Bruck Chun. Podobnie jak Obi-Wan, Bruck był jednym z najstarszych uczniów w Świątyni Jedi i podobnie jak on, miał nadzieję stać się jednym z rycerzy.

- Bruck - powiedział łagodnie Yoda - włóż z powrotem przepaskę na oczy. Jedi nie potrzebuje wzroku, by widzieć.

Ale Obi-Wan usłyszał wyraźnie, jak opaska tamtego upada na podłogę. Głos Brucka był nabrzmiały złością:

Ty niezdarny idioto!

Uspokój się! - warknął Yoda. Rzadko używał takiego tonu.

Każdy z uczniów Świątyni miał jakieś słabostki. Obi-Wan swoje znał aż nazbyt dobrze. Codziennie musiał się zmagać z własnym gniewem i strachem. Świątynia była zarówno szkołą umiejętności, jak i charakteru.

Bruck walczył z narastającym gniewem, który przeradzał się z wolna w zawziętą furię. Zwykle dobrze maskował takie uczucia, dlatego tylko niektórzy z wtajemniczonych dostrzegli to.

Bruck chował w sercu głęboką urazę do Obi-Wana. Rok

wcześniej Obi-Wan, biegnąc korytarzem Świątyni, potrafił Brucka tak mocno, że ten się przewrócił. Przyczyną tego wypadku były po prostu zbyt długie nogi obu chłopców, lecz Bruck był pewien, że Obi-Wan zrobił to celowo i złośliwie. Był bardzo przewrażliwiony na własnym punkcie. Docinki kolegów doprowadzały go do szału. Z zemsty przeważał więc Obi-Wana ofermą - Oferma--Wan.

Żart był ostry jak szpilka.

Najgorsze zaś, że tkwiło w nim ziarenko prawdy. Obi-Wan czuł, że jego ciało rośnie zbyt szybko. Miał wrażenie, że nie może sobie poradzić ze swoimi długimi nogami i wielkimi stopami. Rycerz Jedi powinien żyć w przyjaźni z własnym ciałem, ale Obi-Wana ono krępowało. Tylko w chwilach gdy przenikała go Moc, czuł, że porusza się pewnie, a nawet z wdziękiem.

Dalej, Ofermo - wyzłośliwiał się Bruck. - Uderz mnie znowu! To ostatnia okazja, zanim cię wywalę ze Świątyni!

Dosyć, Bruck! - powiedział ostro Yoda. - Naucz się przegrywać. Rycerz Jedi musi umieć przyjmować klęski tak samo jak zwycięstwa. A teraz idź do swojego pokoju.

Obi-Wan starał się nie czuć oparzeń. Za miesiąc skończy trzynaście lat i będzie musiał opuścić Świątynię. Im bliżej tego dnia, tym więcej może się spodziewać kpin i złośliwości. Jeśli nie uda mu się zostać Padawanem przed upływem tych czterech tygodni, potem będzie już na to po prostu za stary! W napięciu nasłuchiwał plotek, ale nie

były one pocieszające. Żaden Jedi nie przybędzie w tym czasie do Świątyni, by szukać Podawana. Obawiał się, że nigdy nie zostanie rycerzem. Ten strach go irytował. Pora skończyć z głupimi przechwałkami.

- Nie musisz go odsyłać, mistrzu Yoda - powiedział.  
- Nie boję się z nim walczyć, nawet jeśli nie będzie miał przepaski na oczach.

Bruck poczerwieniał, a jego lodowatobłękitne oczy się zwężyły. Yoda tylko kiwnął głową. Było jasne, że Obi-Wan jest równie wyczerpany jak Bruck i obaj woleliby zostać odesłani do swoich pokojów.

Po długiej chwili Yoda uśmiechnął się.

- W porządku. Kontynuujcie. Musicie się więcej uczyć. Włóżcie tylko przepaski, to obowiązkowe.

Obi-Wan skłonił się przed mistrzem, przyjmując rozkaz. Wiedział, że Yoda jest w pełni świadom ich zmęczenia. Choć w głębi duszy miał nadzieję, że pozwoli im odpocząć, nie buntował się. Po prostu uznawał mądrość Yody, tak w wielkich, jak i w małych sprawach.

Założył opaskę na oczy i, przewyciężając zmęczenie, zmusił mięśnie do posłuszeństwa. Próbował zapomnieć, że walczy z Bruckiem, a także o tym, że jego szansę, by stać się Rycerzem Jedi, są znikome. Skupił się całkowicie na wyobrażeniu sobie togoriańskiego pirata, jego sierści w pomarańczowe pasy, pokrytej czarną zbroją.

Czuł Moc krążącą wokół niego i w nim samym. Czuł także Moc w Bruku, nieomal widział ciemne fale jego gniewu. Pierwszy impuls kazał mu odpowiedzieć gniewem na gniew, wiedział jednak, że musi się opanować.

W tym pojedynku postanowił tylko się bronić. Pozwoliłby

Moc kierowała nim jak zawsze. Z łatwością odparował następny cios. Wskoczył wysoko w górę, by uniknąć kolejnego, i wylądował za filarem. Świetlne miecze uderzyły jednocześnie, iskrząc i płonąc. Powietrze zgęstniało od energii walki.

Przez długą chwilę walka przypominała taniec. Obi-Wan uskakiwał przed każdym atakiem, odparowywał wszystkie ciosy. Nie chciał zrobić Bruckowi krzywdy.

„Niech zobaczy, że nie jestem niedołągą - myślał z gorczycą. - Niech zobaczy, że nie jestem głupi. Niech się przekona...”

Żar zaczął przepalać ubranie Obi-Wana. Jego mięśnie płonęły. Potrzebował powietrza, lecz bał się głębiej odetchnąć: to by mogło wyzwolić w nim stłumioną agresję. Wiedział dobrze, że Moc będzie w nim tak długo, jak długo będzie walczył bez gniewu. Starał się więc w ogóle nie myśleć o walce. Zatracił się w tańcu, a wkrótce poczuł się już tak znużony, że w ogóle przestał myśleć.

Bruck atakował coraz wolniej. W końcu Obi-Wan nie musiał już wkładać zbyt wiele siły w obronę. Od niechcenia parował ciosy, póki przeciwnik się nie poddał.

- Dobrze, Obi-Wan! - krzyknął Yoda. - Szybko się uczysz.

Obi-Wan zgasił swój miecz i przypiął go do pasa. Otarł pot z twarzy opaską. Bruck dyszał ciężko obok niego. Nie patrzył na Obi-Wana.

- Widzicie, chłopcy - powiedział Yoda - nie trzeba za bijać wroga, by go pokonać. Wystarczy zabić wściekłość,



która w nim kipi. To wściekłość jest waszym prawdziwym wrogiem.

Obi-Wan zrozumiał, co Yoda ma na myśli. Ale spojrzenie Brucka mówiło jasno, że nie pokonał w nim złości. Najwyżej nauczył go odrobiny szacunku dla siebie.

Chłopcy uroczyście skłonili się przed Yodą. W głowie Obi-Wana pojawił się obraz jego przyjaciółki Bant. Warto było pobić Brucka choćby tylko po to, by jej o tym opowiedzieć.

- Starczy, jak na jeden dzień - powiedział Yoda. - Jutro przybędzie do Świątyni Rycerz Jedi. Szuka Podawana. Musicie być gotowi.

Obi-Wan starał się ukryć zaskoczenie. Zazwyczaj było tak, że zanim rycerz zawitał do Świątyni, wśród uczniów krążyły na ten temat jakieś plotki. Jeśli więc ktoś chciał zasłużyć sobie na zaszczyt zostania jego Padawanem, mógł przygotować się do tego fizycznie i psychicznie.

Kto? - zapytał Obi-Wan z bijącym sercem. - Kto przybywa?

Widziałeś go już - odparł Yoda. - To mistrz Qui-Gon Jinn.

Nadzieje Obi-Wana wzrosły nagle. Qui-Gon Jinn był jednym z największych Rycerzy Jedi. Już wcześniej przyjeżdżał do Świątyni, by przyjrzeć się uczniom, ale jak dotąd nie wybrał sobie spośród nich nowego Podawana.

Plotka głosiła, że Qui-Gon Jinn, straciwszy swego Podawana w pewnej straszliwej bitwie, przysiągł sobie nigdy więcej nie wziąć innego. Przyjeżdżał do Świątyni tylko na prośbę Rady Mistrzów. Spędzał zawsze kilka godzin,

przyglądając się uczniom, jakby szukał czegoś, czego nikt

poza nim nie potrafił dostrzec. Potem odjeżdżał z niczym, aby samotnie walczyć z siłami ciemności.

Nadzieje Obi-Wana znów przygasły. Qui-Gon odrzucił już wielu uczniów. Skąd pomysł, że weźmie właśnie jego?

- Nie zechce mnie - powiedział w rozpaczy. - Widział już, jak walczę, i nie wziął mnie na swego ucznia. Nikt mnie nie weźmie.

Yoda podniósł na niego swoje mądre oczy.

-Hmmm... Zawsze coś się może zdarzyć w przyszłości. Trudno być pewnym, ale mam przeczucie... że los okaże się dla ciebie łaskawy.

Coś w głosie Yody zaskoczyło Obi-Wana. - Myślisz, że mógłby mnie wybrać? - zapytał niepewnie.

-To zależy od Qui-Gona... i od ciebie. Przyjdź jutro i walcz z nim, używając Mocy najlepiej, jak umiesz. Być może cię przyjmie. - Yoda uspokajającym gestem położył mu rękę na ramieniu. - Inaczej nie ma o czym mówić. Wkrótce opuścisz Świątynię. Ale muszę ci powiedzieć, że przykro mi będzie rozstawać się z tak zdolnym uczniem.

Zaskoczony i uradowany Obi-Wan spojrzał na mistrza. Pochwały w ustach Yody były czymś równie rzadkim jak przeprosiny. Dlatego właśnie były tak cenne. Chłopak poczuł, że nawet jeśli nie zostanie Rycerzem Jedi, to zaskarbił sobie szacunek Yody. A to był wielki zaszczyt.

Yoda odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Jego drobne kroczki odbijały się echem pod wysokim sklepieniem sali ćwiczeń. Otworzył drzwi prowadzące do holu i wyszedł.

Wszystkie światła automatycznie pogasły i sala pogrążyła się w ciemności.

Bruck zaczął się śmiać za plecami Obi-Wana.

- Nie bądź naiwny, Ofermo. Yoda tylko cię pocieszał. Jest mnóstwo kandydatów lepszych od ciebie.

Obi-Wan pohamował swój gniew. Miał nieprzepartą ochotę powiedzieć Bruckowi, że kto jak kto, ale on na pewno do tych lepszych nie należy. Nie odezwał się jednak słowem i spokojnie ruszył w stronę drzwi. Dzielił go od nich już tylko krok, gdy coś twardego uderzyło go z tyłu w głowę. Odgłos uderzenia rozniósł się głośnym echem po całym pokoju.

Bruck rzucił mu wyzwanie.

Stał za nim z podniesionym mieczem. Czerwone ostrze lśniło złowrogo w ciemności.

- Gotowy do następnej rundy? - spytał.

Obi-Wan zerknął w pusty korytarz. Yoda już odszedł. Nie będzie świadków. Może w końcu spuścić Bruckowi takie lanie, na jakie już dawno zasłużył. Bruck często bywał okrutny, ale rzadko aż tak bezczelny. Specjalnie prowokował Obi-Wana, próbując wyprowadzić go z równowagi.

„Ale dlaczego?” - zastanawiał się Obi-Wan.

No, jasne!

- Wiedziałeś już wcześniej o wizycie Qui-Gon Jinna - wycedził, czując, że jego podejrzenia powoli zamieniają się w pewność. Był najstarszym uczniem w Świątyni, więc mistrzowie z pewnością doradziliby Qui-Gonowi, by wziął jego na Padawana. A Bruck zapewne nie życzył sobie takiego obrotu wypadków.

A teraz śmiał się mu w nos.

**-Tak, to moja sprawa, że o niczym się nie dowiedziałeś. A jeśli tylko zechcę, to zrobię tak, że nikt cię nie znajdzie, dopóki on nie wyjedzie.**

**Sam chciał zostać Padawanem Qui-Gona! A mógł to osiągnąć tylko w jeden sposób: spowodować upadek Obi-Wana. Udało mu się odsunąć go od przygotowań do tej wizyty, teraz próbuje go rozwścieczyć. Gniew i niecierpliwość nieraz już przysparzały Obi-Wanowi kłopotów. Bruck miał nadzieję doprowadzić go do takiej furii, że nie będzie w stanie użyć Mocy.**

**Obi-Wan wychowywał się w Świątyni od dziecka. Nie miał jak dotąd okazji zetknąć się z prawdziwym złem, takim jak chciwość, podstęp i żądza władzy. Mistrzowie nie chcieli, by dzieci zbyt wcześnie odkryły ciemną stronę Mocy. Nie umiał być bezlitosny, a to czyniło go w pewien sposób bezbronny. Bruck mógł bez trudu okraść go z marzeń.**

**Źle się stało, że wiedział, jak ważna jest dla Obi-Wana wizyta Qui-Gona. A jeszcze gorzej, że był świadom jego lęku, tego strasznego lęku, że nigdy nie uda mu się zostać Padawanem.**

**„Teraz” - pomyślał i uśmiechnął się.**

**-Myślę, Bruck, że za trzy miesiące, kiedy skończysz trzynaście lat, zostaniesz świetnym rolnikiem.**

**Trudno było o gorszą obelgę. W słowach tych kryła się sugestia, że jego przeciwnik tak kiepsko włada Mocą, że nadaje się tylko do Korpusu Rolnictwa.**

**Bruck rzucił się na niego z podniesionym mieczem.**

Obi-Wan skoczył mu naprzeciw z bojowym okrzykiem. Przez długą chwilę błyskały tylko ostrza mieczy i salę wypełniał ich brzęk.

Chłopcy walczyli do upadłego. Wreszcie, ledwo żywi, paskudnie poranieni i poparzeni zaprzestali pojedynku i opuścili pomieszczenie.

Żaden tej walki nie wygrał, obaj zostali pokonani.

Podczas gdy Obi-Wan udał się do swego pokoju, Bruck pojechał windą piętro wyżej, tam gdzie znajdowały się gabinety uzdrowicieli. Mocno kulejąc na jedną nogę, wszedł do pokoju medyka - udawał bardziej pokaleczonego, niż był w rzeczywistości. Zresztą, krew naprawdę ciekła mu z nosa, a podarte i osmalone ubranie wymownie świadczyło o walce.

Na jego widok medyk od razu zapytał:

Co się stało?

Obi-Wan... - jęknął Bruck, udając, że mdleje. Jeden z uzdrowicieli spojrział na niego i rzucił szorstko do kręcącego się w pobliżu robota:

- Zawiadom mistrzów.

## **ROZDZIAŁ 2**

Zła wiadomość zastała Obi-Wana w chwili, gdy właśnie bandażował w pokoju swoje oparzenia. Zastanawiał się jednocześnie, jak zrobić na Qui-Gonie najlepsze wrażenie. Rozważał możliwość ćwiczenia się w walce - nic innego nie mogło przekonać mistrza, że Obi-Wan jest godny stać się jego nowym Padawanem. Ale właśnie wtedy weszła docent Vant z nowymi rozkazami.

W jednej chwili wszystkie jego plany i marzenia się rozwiały.

- To w końcu nie takie straszne - powiedziała docent Vant. Była wysoką, błękitnoskórą kobietą. Nerwowo skubała w palcach swój elegancki szal.

Obi-Wan, oszołomiony, wpatrywał się w papier z rozkazami. Kazano mu spakować swoje rzeczy i opuścić Świątynię jeszcze tego ranka. Ma jechać na planetę Bandedmeer, o której nawet nigdy nie słyszał. Leży gdzieś na najdalszym krańcu galaktyki. Przydzielono go do Korpusu Rolnictwa.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział posępnie. - Przecież dopiero za cztery tygodnie kończę trzynaście lat.

- Wiem - kiwnęła głową docent Vant - ale twój statek, Monument, odlatuje jutro z tysiącem górników na pokładzie. Nie będzie czekał na twoje urodziny.

Wstrząśnięty Obi-Wan rozejrzał się po swoim pokoju. Trzy modele verpidzkich myśliwców kołysały się łagodnie pod sufitem. Zrobił je kiedyś własnoręcznie. Repulsory pól siłowych utrzymywały je w górze. Jak zwykle, mrugały czerwone i zielone światełka pozycyjne, a miniaturowi, podobni do owadów piloci miarowo kręcili głowami, jak gdyby rozpoznawali teren wokół siebie. Książki i zeszyty leżały w nieładzie na stole. Świetlny miecz wisiał na ścianie, na swoim zwykłym miejscu. Obi-Wan nie mógł sobie wyobrazić, że ma to wszystko zostawić. To był jego dom. Odszedłby stąd z radością, by zostać uczniem mistrza. Ale nie rolnikiem!

Nigdy już nie będzie rycerzem „Bruck miał rację” - pomyślał gorzko. Yoda tylko go pocieszał.

Szok i rozpacz sprawiły, że poczuł się chory. Podniósł wzrok na docent Vant.

- Ciągle jeszcze mogę zostać Rycerzem Jedi! Łagodnie pogłaskała go po rękę. Odłoniła w uśmiechu swe olśniewająco białe zęby i potrząsnęła głową.

Nie każdy rodzi się wojownikiem. Republika potrzebuje również uzdrowicieli i rolników. Mając taką wprawę w używaniu Mocy, z łatwością będziesz leczył chore uprawy. Twój talent jest potrzebny światu.

Ale... - Obi-Wan chciał powiedzieć, że czuje się oszukany. - To praca dla najgorszych, dla takich, którzy są zbyt słabi, by zostać rycerzami. A poza tym jutro przyjeź-

dża mistrz Qui-Gon Jinn szukać Padawana. Mistrz Yoda obiecał, że będę mógł przed nim walczyć! Docent Vant znów potrząsnęła głową.

- Mistrzowie dowiedzieli się, że pobiłeś Brucka. Jak mogłeś myśleć, że uzdrowiciele nie zameldują o tym, co zrobiłeś?

Obi-Wan z przerażeniem pojął, co się stało. Bruck miał swój plan i zrealizował go bez skrupułów. Chciał protestować, krzyczeć, że jest niewinny. To była uczciwa walka! A uzdrowiciele? Bruck z pewnością nie potrzebował ich pomocy - wykorzystał ich, by poskarżyć się mistrzom, nie skarżąc wprost.

- Nie po raz pierwszy zachowujesz się gwałtownie - powiedziała docent Vant- lecz mamy nadzieję, że ostatni.  
- I dodała energicznie: - Postaraj się nie wyglądać żałostnie. Musisz się spakować i pożegnać z przyjaciółmi. Galaktyka jest duża. Na pewno będą się chcieli z tobą zobaczyć, zanim wyjedziesz.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Obi-Wan został sam. W ciszy słychać było tylko dźwięki kołyszących się nad głową modeli myśliwców.

Teraz pozostawało mu jedynie spakować swój bagaż. Był zbyt przygnębiony, by się z kimkolwiek żegnać. Nawet z Garenem Mulnem, Reeftem i swoją najlepszą przyjaciółką Bant. Być może poczują się urażeni, ale po prostu nie miał siły spojrzeć im w oczy. Zapytają przecież, dokąd odjeżdża. Kiedyś powiedział, że jeśli dostanie przydział do Korpusu Rolnictwa, to będzie koniec świata. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego się śmieją. Teraz ten koniec świata



właśnie nastąpił, a on nie mógł nic zrobić, by oczyścić swoje imię.

Niestety, Bruck zastawił pułapkę, a on się w nią złapał jak idiota. Bezmyślnie, rzecz jasna. A jednak z własnej woli. Mógł przecież odmówić walki. Jaki będzie z niego Rycerz Jedi, skoro nie umie przejrzeć tak prostego podstępu?

Rzucił się z powrotem na łóżko. Zawiódł mistrza Yodę. W decydującej chwili pozwolił, by chmura gniewu zaćmiła mu mózg. Teraz jego największy lęk stał się rzeczywistością. Po wszystkich tych latach nauki nie był godny stać się Rycerzem Jedi.

Yoda zawsze powtarzał, że gniew i strach mogą zaprowadzić go tam, dokąd wcale nie zamierza pójść. „Zaprzyjżnij się z nimi - radził. - Patrz im prosto w oczy. Błędy są twymi najlepszymi nauczycielami. Zapanuj nad nimi, a znikną. Potrafisz nad nimi zapanować!”.

Mądrość Yody płynęła prosto z serca. Gdyby mocniej w nią wierzył, nie potknąłby się tak głupio.

Uczniowie szykowali się już do snu. Słyszał, jak życzą sobie nawzajem dobrej nocy. W końcu światła pogasły i w korytarzu zrobiło się cicho.

Czuł, jak owiewają go fale łagodnej energii śpiących kolegów. Ale to wcale nie koło mu serca. Tamci mogli spać spokojnie; on nie. Wiercił się i przewracał z boku na bok, nie mogąc w żaden sposób odsunąć wizji triumfu na twarzy Brucka w chwili, gdy ten dowie się, co go spotkało.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Obi-Wan podniósł się i z wahaniem otworzył. Na progu stała Bant i patrzyła na niego w milczeniu. Calamariańska dziewczynka miała na sobie zieloną szatę, która cudownie kontrastowała z jej

łososiowym odcieniem skóry. Ubranie Bant pachniało solą i wilgocią, gdyż przyszła prosto ze swego pokoju, w którym zawsze utrzymywała klimat ciepłomorski. Miała dziesięć lat i była mała jak na swój wiek, ale w jej ogromnych srebrnych oczach malowała się stanowczość.

Spojrząwszy na jego rany i oparzenia, powiedziała dobitnie:

Znowu się biłeś. - Potem spojrzała na jego bagaże.  
- Nie zamierzałeś się ze mną pożegnać? - zapytała, kryjąc łzy. - Jesteś już gotów do odjazdu?

Dostałem przydział do Korpusu Rolnictwa - powiedział, mając nadzieję, że zrozumie, jaka hańba go spotkała. - Jasne, że chciałem się pożegnać, ale...

Potrząsnęła głową.

- Słyszałam, że ruszasz na planetę zwaną Bandomeer. A więc wszyscy już wiedzą. Obi-Wan ponuro skinął głową. Bant zbliżyła się i niezgrabnie go objęła.

- Tak, tam właśnie się wybieram - powiedział, przytulając ją. „A więc mój los jest już przesądzony - pomyślał z rozpaczą. - Będę rolnikiem”. Za tym pierwszym pożegnaniem przyjdą zapewne następne. Nie mógł ich unikać.

Bant odsunęła się nieco.

- To będzie niebezpieczne - powiedziała. - Uprzedzili cię o tym?

Obi-Wan zaprzeczył ruchem głowy.

- To przecież Korpus Rolnictwa. Co w tym może być niebezpiecznego?

**Tego nie wiemy - odrzekła.**

**Ale tak zostało postanowione - uśmiechnął się. Tym zdaniem mistrzowie zazwyczaj ucinali zbytnią dociekliwość uczniów.**

**Za tobą tęsknić będę - powiedziała Bant, naśladowując sposób mówienia Yody. W jej oczach znów pojawiły się łzy.**

**Tak mi przykro. - Obi-Wan próbował się uśmiechnąć, ale nie mógł. Bant objęła go mocno, a potem wybiegła z pokoju, by nie widział, jak płacze.**

## ROZDZIAŁ 3

Dzięki uzdrowicielskim technikom Jedi i cudownym świątynnym maściom rano Obi-Wan był już zupełnie zdrow. Po ranach i oparzeniach nie zostało śladu. Ale ból serca nie był tak łatwy do wyleczenia. Chłopiec spał krótko i niespokojnie, a zbudził się jeszcze przed świtem.

Pożegnał się z Garenem Mulnem i Reeftem. Pochodzili z różnych stron galaktyki, ale w szkole stali się nierozłącznymi przyjaciółmi.

Przy śniadaniu Reeft, Dresselianin o nienaturalnie pomarszczonej twarzy, powtarzał swoje stałe teksty: „Czy to nie będzie zbytnia zachłanność z mojej strony, jeśli zjem twoje mięso?” albo: „Czy to nie będzie zbytnia zachłanność z mojej strony, jeśli...” - i zerkał znacząco na czyjeś ciastko lub napój. Obi-Wan nie jadł kolacji poprzedniego dnia, lecz nie był głodny, oddał mu więc cały swój przydział, Bant miłosiernie dołożyła jeszcze połowę ptysia. Dresselianin, ze swoją szarą pomarszczoną skórą, wyglądał żałośnie, jeśli nie dostał tyle jedzenia, ile pragnął.

- Nie będzie tak źle - powiedział pocieszająco Garen Muln. - Jedziesz przecież na spotkanie przygody.

Garen zawsze miał nadmiar energii. Yoda musiał mu aplikować specjalne ćwiczenia wyciszające.

No i będziesz blisko jedzenia - dodał Reeft rozmazonym głosem.

Kto wie, co go czeka - powiedziała Bant. - Każde z nas dostanie inną misję do spełnienia.

I każdego z nas pewnie to zaskoczy - zgodził się z nią Garen Muln. - Nie każdy może być rycerzem.

Obi-Wan skinął głową. Dobrze, że oddał Reeftowi swoje śniadanie. Nie mógłby nic przełknąć. Wiedział, że przyjaciele starają się go pocieszyć. Ale oni byli w całkiem innej sytuacji: nadal jeszcze mogli stać się Jedi. Wszyscy pragnęli tego najwyższego zaszczytu i ciężko nań pracowali. Wiedzieli, że utrata tej szansy była dla Obi-Wana straszliwym rozczarowaniem.

Do uszu Obi-Wana docierał gwar rozmów przy sąsiednich stolikach. Koledzy zerkali na niego ukradkiem. Większość patrzyła ze współczuciem, niektórzy próbowali dodać mu otuchy. Czuło się jednak jakieś zakłopotanie; prawdopodobnie każdy cieszył się w skrytości ducha, że nie jego to spotkało.

Bruck i jego kumple wrzeszczeli tak głośno, że Obi--Wan słyszał poszczególne zdania.

- Zawsze wiedziałem, że jest do tego zdolny - krzyknął Aalto.

Bruck odpowiedział wysokim, niemiłym rechotem. Od tego dźwięku Obi-Wana aż zapiekły uszy. Odwrócił się gwałtownie. Bruck gapił się niego beczelnie, prowokując do kolejnej walki.

- Nie przejmuj się nim, jest głupi - szepnęła Bant.

Chłopiec wlepił wzrok we własny talerz, gdy nagle wielki czarny owoc barabel rozbił się na stole tuż obok jego tacki. Sok prysnął na twarze Bant i Garena Mulna. Obi-Wan spiorunował wzrokiem Brucka, który zatrzymał się w pół drogi między ich stołem a drzwiami.

- Uprawiaj je dzielnie, Ofermo - parsknął. - Słyszałem, że rosną nawet na kamieniu.

Obi-Wan zaczął podnosić się z krzesła, ale Bant położyła rękę na jego dłoni i powstrzymała go.

Uśmiechnął się do Brucka, powściągając emocje. „On chce mnie rozzłościć - uświadomił sobie. - I ma nadzieję, że to mu się nie uda. Jak często w przeszłości nabierałem się na te gierki? I do czego mnie to doprowadziło? Tylko do tego, że straciłem szansę zostania Padawanem”. Zdusił w sobie gniew i promiennie uśmiechnął się do swego wroga. Ale w środku kipiała w nim furia.

I właśnie w tym momencie Reeft wymamrotał cicho:

- Czy to nie będzie zbyt zachłanność z mojej strony, jeśli zjem ten owoc barabel?

Obi-Wan wybuchnął śmiechem.

- Dzięki, Bruck - powiedział, zbierając ze stołu resztki owocu i wrzucając je do kubka. - Ludzie na Bandomeer będą uszczęśliwieni, kiedy przekażę im to jako dar od ciebie: „Rolnik - rolnikom”!

Tymczasem na wyższym piętrze Świątyni mistrz Yoda dyskutował z najstarszymi członkami Rady. Zebranie odbywało się w ogromnej sali, zwanej Salą Tysiąca Wodotry-

sków, gdzie niezliczone fontanny i wodospady stanowiły dodatkową ozdobę bajecznie szmaragdowego lasu.

Niebo nad Coruscant zasnuwały ciężkie burzowe chmury.

Obi-Wan Kenobi do walki przed Qui-Gon Jinnem dopuszczony być musi! - Słowa Yody zagłuszył odgłos pioruna. - Ręczę za niego.

Co? - zdziwił się Mace Windu, Senior Rady. Był to silny, ciemnoskóry mężczyzna, z gładko ogoloną głową. Jego wzrok przeszywał Yodę niczym strzał z miotacza.

- Dlaczego mielibyśmy dawać mu jeszcze jedną szansę?

Obi-Wan po raz kolejny dowiódł, że nie radzi sobie z własnym gniewem i niecierpliwością. A Qui-Gon Jinn nie jest gotów przyjąć następnego niecierpliwego Padawana.

Masz rację - odrzekł Yoda. - Żaden z nich gotów nie jest, ani Obi-Wan, ani Qui-Gon. Mam jednak przeczucie, że Moc połączy mistrza i ucznia.

A co powiesz o wypadkach ostatniej nocy? - zapytał Mace Windu. - O pobiciu Brucka?

Yoda skinął ręką i w tej samej chwili wynurzył się z krzaków robot sprawozdawca.

Oto Robot Ćwiczebny Jedi 6. O wczorajszej walce opowie - rzekł w odpowiedzi Yoda.

Serce Obi-Wana biło w rytmie 68 uderzeń na minutę

- relacjonował robot. - Jego korpus był obrócony pod kątem 27 stopni na północny wschód. W prawej ręce,

skierowanej w dół, ścisnął ćwiczebny miecz. Temperatura jego ciała wynosiła...

- Dość - przerwał Mace Windu. Gdyby pozwolił mu kontynuować, opis przejścia Obi-Wana przez pokój zająłby godzinę. - Powiedz tylko, kto kogo sprowokował do walki. Kto zaczął i co się potem stało?

Robot AJTD6 zabuczał z przeciążenia. W końcu jednak, ponaglany przez Mace Windu, zaczął opowieść o tym, jak Bruck sprowokował Obi-Wana.

- Pięknie - westchnął Mace Windu. - Mamy więc jednego oszusta i jednego durnia. Co proponujesz, mistrzu?

- Dać im jeszcze jedną szansę powinniśmy - odrzekł Yoda.



## ROZDZIAŁ 4

Czerwony miecz Brucka trzeszczał i syczał, a Obi--Wan rozpaczliwie próbował odparować szaleńczy grad ciosów. Walczyli już cały dzień. Obi-Wana bolał każdy mięsień. Jego cienka tunika była całkiem mokra od potu. Zaskoczyła go nieustępliwość Brucka. Walczył tak desperacko, jakby od wyniku tej walki miało zależeć jego życie. Obi-Wan zrozumiał, że Bruck, tak samo jak on, boi się, że nie zostanie wybrany na ucznia Jedi.

Obi-Wan potrafił być jednak równie nieustępliwy jak Bruck, a nawet jeszcze bardziej. W końcu była to jego ostatnia szansa.

Ostrze miecza Brucka zadźwięczało, dotykając krtani Obi-Wana. Takie dotknięcie oznaczało śmiertelny cios; wydawało się, że Obi-Wan przegra tę rundę.

Krzyk na trybunach narastał. Wszyscy przyszli obejrzyć tę walkę, Mistrzowie wraz z uczniami siedzieli razem w cieniu wokół areny. Obi-Wan nie mógł widzieć ich twarzy, ale słyszał dopingujące okrzyki. Robot AJTD6 krążył wokół walczących, nadzorując przebieg pojedynku.

- Ty głupcze! - warknął Bruck cicho, tak by nikt na wi-

downi nie mógł go usłyszeć. - Nie powinienes się był godzić na tę walkę. Nie wygrasz ze mną!

Potrząsnął białymi włosami związanymi w kitkę. Krople potu ściekały mu po czole. Miał na sobie ciężką czarną zbroję. W powietrzu unosiła się ostra woń przypalonych włosów i ciała. Obaj walczący mieli wielką wolę zwycięstwa, ale ich ciosom daleko było do doskonałości.

Młodzi uczniowie, skupieni wokół areny, gwizdali, tupali i wydawali dopingujące okrzyki. Jedni kibicowali Bruckowi, inni Obi-Wanowi. Wszyscy już zdążyli się dowiedzieć o wieczornym zjściu. Bant krzyczała na całe gardło:

- Odwagi, Obi-Wan! Jesteś lepszy!

Tuż obok niej Garen Muln pogwizdywał nerwowo.

- Wiesz, że przegrasz! - Obi-Wan rzucił Bruckowi pogardliwe spojrzenie, podczas gdy ich miecze trzeszczały i tańczyły w powietrzu. - Masz pecha: wszyscy dziś zobaczą, że jesteś nie tylko słabeuszem, ale i oszustem.

Mistrzowie zdecydowali, że walka odbędzie się bez opasek na oczach. Twarz Brucka nie zdradzała emocji, ale w jego oczach płonęła nienawiść. Patrzyli na siebie; ta chwila zdawała się przedłużać w nieskończoność. Obi--Wan ujrzał w oczach Brucka przyszłość, jakiej sam wolałby uniknąć: przyszłość człowieka przeżartego nienawiścią, pełnego złości na każdego, kto tylko stanie mu na drodze.

Usiłował sięgnąć po Moc. Czuł, jak krąży wokół niego, ale coś przeszkadzało mu zjednoczyć się z nią w pełni. Coś? Nie, to ten chłopak naprzeciw niego. To on stanął

między nim a jego marzeniami, ośmieszył go, oszukał! Z furią rzucił się naprzód. Udało mu się zaskoczyć Brucka i odepchnąć go daleko w tył.

Ta chwila zachwiania wystarczyła, by Obi-Wan zdobył nad nim przewagę. Bruck obawiał się ataku na twarz; zanurkował więc, tnąc po nogach. Obi-Wan uniknął jego ciosów, wyskakując wysoko w górę.

Jako dziecko, walcząc ze starszymi przeciwnikami, nauczył się unikać błyskotliwych, lecz wyczerpujących ataków. Opanował natomiast sztukę walki defensywnej, oszczędnego w ruchach blokowania ciosów oraz wykonywania błyskawicznych uników.

Gdy odparowywał uderzenia Brucka, czuł na sobie wzrok Qui-Gon Jinna. Rycerz Jedi był samotnym buntownikiem, a Obi-Wan też pragnął za takiego uchodzić.

Zamiast więc spokojnie zastanowić się nad strategią Brucka, przypuścił błyskawiczny, szaleńczy atak. Bruck próbował się bronić, ale miecz Obi-Wana z palącą siłą uderzył w miecz przeciwnika. Bruck o mało nie upuścił swej broni.

Obi-Wan chwycił miecz w obie ręce i ostro się zamachnął, Bruck raz jeszcze sparował cios, ale potknął się przy tym i rymnął jak długi. Jego miecz zatoczył piękny łuk w powietrzu i gasnąc, upadł na ziemię. Obi-Wan rzucił się na przeciwnika, by jednym decydującym ciosem zakończyć walkę. Bruck jednak zwinął się jak wąż i w ostatniej chwili zdołał pochwycić swój miecz i włączyć go, nim Obi--Wan zdążył znów zaatakować.

Ale to mu nie wyszło na dobre. Lepiej by zrobił, nie

próbując odbijać kolejnego ciosu przeciwnika; on jednak osłonił się i w ten sposób jego własna broń obróciła się przeciwko niemu. Obi-Wan ciął go prosto między oczy, przypalając mu skórę i włosy.

Bruck zawył z bólu. Żar dwóch mieczy naraz był nie do wytrzymania. Wreszcie Yoda krzyknął:

- Dość, wystarczy!

Na trybunach zapanowała wrzawa. Ci, którzy trzymali stronę Obi-Wana, krzyczeli i wiwatowali. Oczy Bant błyszczwały, a twarz Reefta pomarszczyła się jeszcze bardziej w szerokim uśmiechu.

Obi-Wan zszedł z areny, dysząc ciężko. Pot spływał mu po twarzy i ramionach, mięśnie bolały z wysiłku. Strasznie kręciło mu się w głowie, ale nigdy dotąd żadne zwycięstwo nie smakowało tak słodko. Zerknął na ocienione trybuny i zobaczył, że Qui-Gon Jinn patrzy na niego. Zaszczycił go nawet krótkim skinieniem głowy!

„Wygrałem - pomyślał Obi-Wan z radosnym przejęciem. - Dałem taki wycisk Bruckowi, że nawet na Qui-Gonie zrobiło to wrażenie”.

Starął się jednak pohamować swoją radość i nie okazywać jej zbyt jawnie. Powściągliwie skłonił się przed Yodą i mistrzami. Nie mógł jednak oprzeć się pokusie i gestem wszystkich zwycięzców podniósł wysoko swój miecz, by pozdrowić nim przyjaciół. Uśmiechnął się szeroko, dumnie potrząsając bronią przed Bant, Reeftem i Garenem Mulnem. Być może wygrał dzisiaj coś więcej niż ważną walkę. Być może wygrał własną przyszłość.

Okrzyki radości rozbrzmiewały mu jeszcze w uszach, gdy wchodził do szatni. Wziął prysznic i przebrał się w

czystą tunikę. Wrzucał właśnie prze poczone ubranie do pojemnika na brudną bieliznę, gdy w szatni pojawił się Qui-Gon Jinn. Był to wielki, potężny mężczyzna, lecz poruszał się bezszelestnie.

Kto cię nauczył walczyć w taki sposób? - zapytał bez zbędnych wstępów. Mógł się wydawać szorstki, ale wrażliwa, myśląca twarz zjednywała mu sympatię.

To znaczy, jak?

Uczniowie Świątyni rzadko atakują tak zaciekle. Uczą się bronić, ćwiczą techniki walki. Starają się zachować siły. A ty walczyłeś... jak szaleniec. Atakowałeś bez opamiętania, a ktoś, kto tak robi, może liczyć tylko na błędy przeciwnika.

Chciałem to szybko skończyć - wyjaśnił cicho Obi-Wan. - Moc tego żądała.

Qui-Gon przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. - Nie sądzę - powiedział w końcu. - Nie możesz ciągle liczyć na to, że uda ci się zepchnąć wroga do defensywy. Twój styl walki jest zbyt niebezpieczny, zbyt ryzykowny. Popracuj nad nim.

-Ty mógłbyś mnie wyszkolić - powiedział Obi-Wan spokojnie. Po takim wstępie, myślał, Qui-Gon nie może zrobić nic innego jak tylko poprosić go, by został jego Padawanem.

Ale Qui-Gon pokręcił tylko głową w zamyśleniu.

-Może mógłbym... - powiedział wolno. Te słowa znów obudziły w chłopcu nadzieję. Ale tylko na mgnienie oka. - A może nikt by nie mógł - dokończył Qui-Gon.

- Byłeś wściekły na tego chłopaka. Nie możesz zaprzeczyć. Czułem złość w was obu.

- Ale nie dlatego chciałem z nim wygrać. - Obi-Wan spojrział z powagą na mistrza, dając mu do zrozumienia, że chciał tylko zrobić na nim wrażenie, pokazać, jak dobrze mógłby mu służyć jako Padawan.

Qui-Gon, milcząc, patrzył na niego... poprzez niego... wzrokiem przenikającym na wskroś. Nadzieja Obi-Wana znowu wzrosła. „Teraz mnie poprosi - pomyślał. - Teraz mnie poprosi, bym został jego Padawanem”.

Ale Qui-Gon powiedział tylko: - W przyszłości podczas walki hamuj swój gniew. Rycerze Jedi nigdy nie tracą sił w walce z silniejszym przeciwnikiem, i nigdy też nie spodziewają się, że wróg uprzejmie da im szansę wygranej.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Obi-Wan stał jak wmurowany w ziemię. Qui-Gon nie wybrał go na swego ucznia. Dał mu tylko parę dobrych rad, tak jak to zawsze robią mistrzowie. Nie mógł pozwolić mu teraz odejść. Nie mógł spokojnie się przyglądać, jak jego marzenie umiera.

- Zaczekaj! - krzyknął. Qui-Gon zatrzymał się, a wtedy chłopiec pokornie przyklęknął na jedno kolano. - Jeśli błądziłem - powiedział cicho - to tylko dlatego, że nie miałem dobrego nauczyciela. Czy weźmiesz mnie do siebie?

Qui-Gon powoli odwrócił głowę w jego stronę. Zmarszczył brwi, myśląc o czymś intensywnie. A w końcu mruknął tylko:

**Nie.**

**Qui-Gon Jinnie, za cztery tygodnie skończę trzynastcie lat! - mówił błagalnie Obi-Wan. Wiedział, że to desperackie posunięcie, ale po prostu musiał to powiedzieć: - To moja ostatnia szansa, by zostać Rycerzem Jedi.**

**Qui-Gon ze smutkiem potrząsnął głową.**

**- Nie bierze się na rycerzy tak agresywnych chłopców jak ty. Zbyt łatwo przechodzą na stronę ciemności.**

**Po tych słowach ogromny Jedi zaczął już nieodwołalnie kroczyć w stronę wyjścia. Jego peleryna falowała w rytm majestatycznych kroków. Ale Obi-Wan jeszcze raz go zatrzymał, rzucając mu się do nóg:**

**- Ja będę wierny - zapewnił żarliwie.**

**Qui-Gon nie zatrzymał się jednak ani nawet nie zwolnił kroku. Po prostu wyszedł równie szybko i bezszelestnie, jak się pojawił.**

**Obi-Wan długo stał bez ruchu, oszołomiony, wpatrując się w przestrzeń. W pierwszej chwili nie był w stanie spokojnie przyjąć tego, co się stało. Wszystko przepadło. Ostatnia szansa została zaprzepaszczona. Nie miał już po co żyć.**

**Jego bagaże, od wczoraj spakowane, czekały na ławce przy drzwiach. Pozostało tylko zanieść je na pokład statku, który zabierze go na planetę Bandomeer.**

**Podniósł głowę. Skoro nigdy nie stanie się Rycerzem Jedi, powinien przynajmniej opuścić Świątynię z godnością, tak jak zrobiłby to rycerz. Nie chciał upokarzać się błaganiami. Wziął swoje torby i ruszył długim korytarzem, który prowadził z areny walk prosto na kosmodrom. Minął**

grootę medytacyjną, jadalnię, sale szkolne... te wszystkie miejsca, gdzie się uczył, walczył i zwyciężał. To był jego dom. Nie miał innego. A teraz musi odejść i stawić czoło przyszłości, o którą nie prosił i której wcale nie pragnął.

Obi-Wan po raz ostatni zamknął za sobą drzwi Świątyni. Starał się odepchnąć ten wielki smutek i spojrzeć na swą przyszłość z jaśniejszej strony.

Ale nie umiał.



## ROZDZIAŁ 5

Oui-Gon Jinn ciągle miał w oczach zrozpaczoną twarz Obi-Wana. To wspomnienie nie dawało mu spokoju. Chłopak bardzo się starał nie pokazywać, co czuje, ale to było wypisane na jego twarzy.

Rycerz zaszył się w planetarium - jego ulubionym miejscu w Świątyni. Aksamitnie błękitna kopuła sklepienia dawała pełną iluzję prawdziwego nieboskłonu. Panowała tu zupełna ciemność, w której jarzyły się tylko nikle światełka gwiazd i planet, krążących jednostajnie po swoich orbitach. Wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć którejś z nich. Holograficzna projekcja pozwalała powiększyć dowolny fragment nieba i przyjrzeć się szczegółom. Można było też uzyskać informacje o fizycznych właściwościach planet, okrążających je satelitach, a nawet o formie panujących tam rządów.

Na pozór łatwo było tu zdobyć wszelką potrzebną wiedzę. Ale nie o uczuciach one pozostają tajemnicą.

Oui-Gon wmawiał sobie, że podjął właściwą decyzję. Jedyną możliwą. Chłopak walczył dobrze, ale zbyt zaciekle. W tym kryło się niebezpieczeństwo.

Ten chłopak mi nie odpowiada - powiedział głośno.

Pewien jesteś? - rozległ się z tyłu głos Yody.  
Oui-Gon drgnął, zaskoczony.

- Nie słyszałem, jak wchodzisz - powiedział uprzejmym tonem.

Yoda zrobił kilka kroków w jego stronę.

- Odrzuciłeś już dwunastu kandydatów. Jeśli dziś nie wybierzesz Padawana, umrą marzenia tego trzynastego...

Oui-Gon z westchnieniem wbił wzrok w jasno świecącą czerwoną gwiazdę.

- W przyszłym roku będzie więcej chłopców. Może wtedy któregoś wybiorę.

Zawsze podczas swoich wizyt w Świątyni najwięcej czasu spędzał z Yodą. Lubił jego towarzystwo. Teraz jednak wolał zostać sam. Nie miał ochoty dyskutować o tym, co się stało. Ale wiedział, że Yoda nie odejdzie, póki nie powie wszystkiego, co ma do powiedzenia.

Może wybierzesz - mistrz kiwnął głową z pewnym powątpiewaniem - a może nie. Co o młodym Obi-Wanie myślisz? Dzielnie bardzo walczył.

Walczył... zaciekle - przyznał Oui-Gon.

Taaak... Zupełnie jak ten chłopak, którego kiedyś znałem...

Dość - przerwał Oui-Gon. - Xanatos odszedł. Nie musisz mi o nim przypominać.

- Nie mówię o nim - odrzekł Yoda - lecz o tobie. Oui-Gon nie odpowiedział. Yoda znał go aż nazbyt dobrze. Trudno było go przekonać.

- Używa Mocy dobrze - dodał mistrz.

A poza tym jest gniewny i lekkomyślny. - Oui-Gon nieznacznie podniósł głos czując jak narasta w nim irytacja. - I łatwo może przejść na stronę ciemności.

Nie każdy młody gniewny być musi od razu zdrajcą - rzekł łagodnie Yoda. - Szczególnie, jeśli ma odpowiedniego nauczyciela.

Nie wezmę go, mistrzu Yoda - odparł stanowczo Oui-Gon. Miał nadzieję, że mistrz nie będzie dłużej nalegał.

W porządku. - Yoda wzruszył ramionami. - Ale człowiek nie zawsze panem swego przeznaczenia jest. Jeśli sam wybrać Padawana nie chcesz, los może wybrać za ciebie.

Może - zgodził się Oui-Gon. Nagle zawahał się. - Co się stanie z tym chłopcem?

Do Korpusu Rolnictwa skierowany zostanie.

- Rolnik? - mruknął Oui-Gon. „Cóż za marnotrawstwo talentów...” - Powiedz mu... że życzę mu szczęścia.

Za późno - odparł Yoda. - Jest już w drodze na Bandomeer.

Bandomeer? - zdziwił się Oui-Gon.

Miejsce to znasz?

Czy znam? Senat poprosił mnie, bym tam się udał. Zaraz wyjeżdżam. Wiesz może coś o tym? - Oui-Gon spojrzał podejrzliwie na małego mistrza.

-Mmmhm... - mruknął przeciągle Yoda. - Nie wiem nic. Myślę jednak, że to coś więcej niż przypadek jest. Niezbadane są ścieżki Mocy...

- Ale dlaczego wysyłacie chłopca na Bandomeer? -

zapytał Oui-Gon. - To parszywa planeta. Jeśli klimat go

nie zabije, zrobią to jacyś rabusie. Będzie potrzebował wszystkich swoich umiejętności, by utrzymać się przy życiu... Mniejsza o Korpus.

Tak właśnie Rada myśli - powiedział Yoda. - Klimat Bandomeer dojrzeniu owoców nie sprzyja. Ale młodych wojowników - tak, i owszem.

O ile wcześniej nie powiesi się z rozpaczy - mruknął Oui-Gon. - Bardziej w niego wierzysz niż ja.

Tak właśnie to widzę - zachichotał stary mistrz. - A ty uważniej tego, co mówię, słuchać powinienes.

Rycerz, wyraźnie poirytowany, znów poświęcił się bez reszty obserwowaniu gwiazd na sztucznym nieboskłonie.

- Patrz na gwiazdy, patrz - powiedział Yoda, wychodząc. - Mogą cię wiele nauczyć. Tylko czy to jest ta wiedza, której najbardziej potrzebujesz?

## ROZDZIAŁ 6

Statek o dumnej nazwie Monument okazał się starą coreliańską barką, solidnie podziurawioną przez meteory. Wyglądał jak brudna, odrapana winda towarowa, wyładowana po brzegi jakimś nader podejrzanym towarem. Trudno było sobie nawet wyobrazić, że coś takiego lata w kosmosie.

Statek z zewnątrz był brzydki, a w środku po prostu wstrętny. W korytarzach cuchnęło prochem górniczym i potem niezliczonych ciał. Doki naprawcze były na wpół otwarte, wiec druty i kable - żyły statku - wylewały się z nich jak z otwartej rany.

Wszędzie kręcili się ogromni Huttowie, ślizgając się po podłodze jak gigantyczne ślimaki. Whipidzi majestatycznie przechadzali się po długich korytarzach, strasząc zmierzwionym futrem i ogromnymi kłami. Wysocy Arconianie o trójkątnych głowach i błyszczących oczach przemieszczali się z miejsca na miejsce, skupieni w niewielkich grupkach.

Obi-Wan przyglądał się temu wszystkiemu w oszołomieniu. Ciągle miał w rękach swoje bagaże. Nie wiedział, co

z nimi zrobić. Nikt nie czekał na niego przy wejściu. Nikt chyba nawet nie zauważył jego przybycia. Nagle zdał sobie sprawę, że zostawił w Świątyni papier z rozkazem wyjazdu. Był tam numer jego kabiny.

Rozglądał się za jakimś członkiem załogi, ale natykał się tylko na górników, których statek miał zabrać na Bandomeer. Z trudem posuwał się naprzód. Zaczynała go ogarniać rozpacz. Ten statek był dziwny, przerażający. Tak bardzo różnił się od czystych, jasnych pomieszczeń Świątyni, gdzie wszędzie szemrały fontanny. Każdy zakątek Świątyni był znany, przyjazny; arena walk, gdzie rozgrywały się pojedynki, sadzawka, do której skakało się z najwyższej wieży...

Coraz bardziej zwalniał kroku. Co teraz robi Bant? Jest w klasie czy w swoim pokoju? A może pływa w sadzawce razem z Reeftem i Garenem Mulnem? Jeśli ci troje myśli o nim, na pewno nie wyobrażają sobie, w jakim strasznym miejscu się znalazł.

Nagle ogromny Hutt zagroził mu drogę. Zanim Obi-Wan zdążył cokolwiek wyjaśnić, brutalnie chwycił go za gardło i pchnął na ścianę.

Dokąd się wybierasz, próżniaku?

Co? - zapytał Obi-Wan, zaskoczony napaścią. Czy zrobił coś nie tak? Przecież tylko sobie szedł. Z niepokojem spostrzegł, że za Huttem stoi jeszcze dwóch Whipidów, którym bardzo źle patrzy z oczu.

Na B...Bandomeer - wyjąkał.

Hutt patrzył na chłopca jak na kawałek mięsa. Smakowity kawałek mięsa. Jego wielki język szybko obracał się

w ustach i wysuwał z nich od czasu do czasu. Po brodzie stwora spływała ślina.

- To, co masz na sobie, nie przypomina munduru, jaki obowiązuje na Monumencie. Nie jesteś z Korporacji Pozaplanetarnej.

Obi-Wan spojrział na swoją luźną szarą tunikę. Istotnie, był to cywilny strój, całkowicie niepodobny do munduru Hutta, z czarną trójkątną naszywką, na której jaśniała planeta, czerwona jak oko albinosa. Była tam jeszcze srebrna rakieta, udająca źrenicę tego oka. Poniżej widniał napis: „Korporacja Pozaplanetarna. Górnictwo Gwiezdne”. Whipidzi mieli takie same naszywki.

Może jest z innej grupy - odezwał się jeden z nich.

A może to szpieg? - zastanowił się drugi. - Co tam masz w tych torbach? Pewnie bomby?

Hutt zbliżył swoją ogromną groteskową mordę do twarzy Obi-Wana.

- Każdy górnik, który nie pracuje dla nas, jest naszym wrogiem - wrzasnął, potrząsając nim groźnie. - I ty także. Śmierć wrogom Korporacji Pozaplanetarnej!

Palce Hutta wyglądały jak gigantyczne kotlety. Kiedy zacisnęły się na szyi Obi-Wana, nawet nie pisnął. Dusił się. Zdołał jednak chwycić swoje torby i zdzielić nimi Hutta po paluchach. W płucach miał już ogień, przed oczami tańczyły czarne pląty.

Używając całej swojej siły, zdołał na moment rozluźnić potworny uchwyt. Udało mu się złapać łyk powietrza. Patrząc w okrutne rybie oczy prześladowcy, próbował przywołać Moc.

Zostaw mnie w spokoju - wycharczał, dysząc ciężko.

Jednocześnie, używając Mocy, starał się zdobyć kontrolę nad umysłem Hutta. To nie było podobne do walk z kolegami w szkole. Wyczuwał okrucieństwo pozbawione świadomości. W tej walce nie będzie żadnych reguł, nie przyjdzie ani Yoda, ani nikt inny, by ją przerwać w odpowiednim momencie.

Zostawić cię w spokoju? A niby dlaczego? - zarechotał Hutt.

„Nieźle, jak na początek” - pomyślał z rozpaczą Obi--Wan.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była gigantyczna pięść Hutta zbliżająca się ku jego twarzy.



## ROZDZIAŁ 7

Obudził się w ciepłym, jasno oświetlonym pokoju. Widział wszystko jak przez mgłę, kręciło mu się w głowie. Medyczny robot opatrywał mu rany, pokrywając je jakimś przezroczystym żelem. Unieruchamiał też połamane kości.

Z drugiego końca pokoju patrzyła na niego młoda zielonooka kobieta o pięknych kasztanowych włosach.

- Czy nikt ci nie powiedział, że lepiej się nie zadawać z Huttami? - zapytała.

Obi-Wan próbował potrząsnąć głową, lecz nawet najmniejszy ruch powodował nieznośny ból. Wziął głęboki oddech. W Świątyni nauczono go przyjmować ból jako sygnał, który ciało wysyła zawsze, kiedy coś jest z nim nie w porządku. Akceptował więc to uczucie, szanował je, nie próbował z nim walczyć. Ale tym razem poprosił swoje ciało, by zaczęło jak najszybciej dochodzić do zdrowia.

Kiedy udało mu się skoncentrować umysł, ból jakby trochę złagodniał. Mógł już odpowiedzieć nieznanym:

- Nie miałem wyboru.

Wiem, o czym mówisz - uśmiechnęła się. - Dobrze, że w ogóle żyjesz. To daje pewną nadzieję na przyszłość. - Podeszła do jego łóżka. - Masz szczęście, że cię znalazłam... Nie jesteś jednym z naszych.

Naszych? - zdziwił się Obi-Wan. Zerknął na nią ukradkiem; miała na sobie pomarańczowy uniform z zielonym trójkątem.

Jesteśmy z Arconiańskiej Korporacji Wydobywczej - odrzekła. - Jeśli nie pracujesz dla nas, czemu Huttowie cię zaatakowali?

Chciał wzruszyć ramionami, ale przeszył go ból. Czasami było bardzo trudno odnosić się z szacunkiem do tego doznania.

- Może ty mi to powiesz? Ja szukałem tylko swojej kabiny.

-Twardziel z ciebie - powiedziała pogodnie. - Nie każdy wychodzi cało ze spotkania z Huttami. Szukałeś pracy na statku? Możemy cię zatrudnić w Korporacji. Nazywam się Clat'Ha, jestem szefem wydziału operacyjnego.

Wyglądała o wiele za młodo, jak na szefa jakiegokolwiek wydziału. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat.

- Ja już mam pracę - powiedział Obi-Wan, jednocześnie starając się wyczuć językiem, czy wszystkie zęby są na swoim miejscu. - Jestem Obi-Wan Kenobi. Zostałem przydzielony do Korpusu Rolnictwa.

Clat'Ha otworzyła usta ze zdumienia.

- Jesteś tym młodym Jedi? Cała załoga wszędzie cię szuka od rana!

Próbował usiąść na łóżku, lecz kobieta nie pozwoliła mu na taki wyczyn.

- Leż spokojnie. Jesteś jeszcze za słaby, by się podnieść. - Położył się posłusznie, a Clat'Ha odsunęła się nieco. - Powodzenia, Obi-Wanie - powiedziała ciepło. - Uważaj na siebie. Tu trwa wojna, a ty znalazłeś się na linii frontu. Tym razem udało ci się uciec z życiem, ale jutro możesz nie mieć tyle szczęścia.

Zrobiła ruch, jakby chciała odejść, lecz Obi-Wan chwycił ją za rękę.

- Nie rozumiem - powiedział. - Jaka wojna? Kto z kim walczy?

- Korporacja Pozaplanetarna z naszą Korporacją. Musiałeś o tym słyszeć.

Potrząsnął głową. Jak miał jej wytłumaczyć, że całe życie spędził w Świątyni Jedi? Że wprawdzie zna Moc, ale nie zna życia?

Korporacja Pozaplanetarna to jedna z najstarszych i najbogatszych kompanii górniczych w całej galaktyce - wyjaśniła Clat'Ha. - Oni nie lubią konkurencji. Każdy, kto wejdzie im w drogę, prędzej czy później musi umrzeć.

Kto jest ich szefem? - zapytał Obi-Wan.

Tego nikt nie wie - odrzekła. - To może być ktoś, kto nie rozpoznany żyje wśród nas od stuleci. Nie wiemy nawet, czy to mężczyzna czy kobieta, I nie jestem pewna, czy zdołalibyśmy dowieść, że odpowiada za te wszystkie zbrodnie. Ale tu na tym statku dowodzi ich siłami niejaki Jemba, wyjątkowo bezwzględny, nawet jak na Hutta.

Obi-Wan powtórzył w myśli to imię. Jemba. To mógł być

ten, który go pobił.

- Bezwzględny? Do czego może się posunąć? Claf'Ha trwożliwie obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- Korporacja Pozaplanetarna potrzebuje taniej siły roboczej. Poza układem Rim, na planetach takich jak Bandomeer, pracują już tylko niewolnicy, w większości Whipidzi. Ale nie to jest najgorsze... - zawahała się.

- A co może być jeszcze gorszego? Jej ciemne oczy rozbliły.

-Mniej więcej pięć lat temu Jemba był kierownikiem robót na planecie Yarristad, gdzie pracowały też inne firmy wydobywcze. Yarristad to mała planeta, pozbawiona atmosfery. Pracownicy mieszkali tam w wielkich kopułach. Pewnego dnia ktoś lub coś zrobiło dziurę w sklepieniu... chyba rozumiesz? Całe powietrze w jednej chwili uleciało w kosmos. Zginęło wtedy ćwierć miliona ludzi. Nikt nie udowodnił Jembie winy, ale wiesz: zabił ten, kto na tym korzysta. Gdy inne spółki zbankrutowały, Jemba wykupił prawa do eksploatacji planety praktycznie za bezcen. Korporacja Pozaplanetarna osiągnęła wtedy niewyobrażalne zyski. Teraz musimy jakoś się z nimi dogadywać na Bandomeer.

Jesteś pewna, że ktoś to zrobił celowo? - zapytał Obi-Wan. - Może to był zwykły wypadek?

Może - odrzekła Claf'Ha bez przekonania - ale wypadki to wizytówka Jemby. Poznać go po nich jak Whipidów po smrodzie. Dostałeś już nauczkę, więc uważaj na siebie!

Było jeszcze coś, o czym mu nie powiedziała. Czuł to wyraźnie - jakiś zapiekły ból, strach, pragnienie zemsty.

Kogo znałaś na Yarristad? - zapytał bez ogródek. Zaskoczyła ją jego przenikliwość.

Nikogo -skłamała szybko.

Spojrzał jej w oczy.

- Clat'Ho, nie możemy na to dłużej pozwalać. Monument nie należy do Jemby! Oni nie mogą się tu panoszyć!

- Jasne, że to nie jego statek, ale proporcja sił wynosi trzydzieści do jednego. Kapitan nie będzie w stanie cię chronić. Na twoim miejscu starałabym się unikać konfrontacji. W naszej części statku jesteś zawsze mile widziany.

Zrobiła krok w stronę drzwi, lecz nagle odwróciła się i posłała mu promienny uśmiech. Jej chmurna twarz odmłodziła nagle i nabrała figlarnego wyrazu.

- Jeśli zdołasz nas znaleźć.

Obi-Wan odwzajemnił uśmiech, ale w duchu ciągle się buntował, widząc, jak łatwo Clat'Ha godzi się z tak oczywistą niesprawiedliwością. Nie mógł tego zrozumieć. Wzrastał w takim miejscu, gdzie uczciwie rozsądza się wszelkie spory. Inne reguły gry były dla niego po prostu nie do przyjęcia.

- Clat'Ha, to nie jest w porządku - stwierdził posępnie.

- Dlaczego musimy trzymać się z dala od ich części statku? Dlaczego się na to godzisz?

Jej oczy roz błysły nienawiścią.

- Dlatego, że nie chcę ich widzieć w mojej części - odrzekła gniewnie. - Gdy Jemba jest w pobliżu, zawsze zdarzają się dziwne przypadki. Lina się przerwie albo tunel się zapadnie... i giną ludzie. Poza tym nie chcę tu ich szpie-

**gów. Ani sabotażystów, I właśnie dlatego zgadzam się na podział statku. Myślę, że tak jest lepiej dla wszystkich.**

**Po tych słowach wyszła z pokoju. Skrzydła drzwi kołysały się jeszcze przez chwilę, jak gdyby poruszała je jakaś niewidzialna energia. Obi-Wan zrozumiał nagle, że żar w jego ciele nie jest spowodowany wyłącznie słusznym oburzeniem na niesprawiedliwość. Miał po prostu gorączkę. Próbował zaakceptować tę gorączkę, tak jak już wcześniej zaakceptował ból, lecz nagły zawrót głowy rzucił go z powrotem na poduszki. Pokój wirował jak dziecinny bąk.**

## ROZDZIAŁ 8

Śniło mu się, że znów jest w Świątyni Jedi i chodzi po planetarium, W pewnej chwili wyciąga rękę i dotyka gwiazdy wiszącej nad Bandomeer. To jeden z czerwonych olbrzymów tworzących podwójny układ. Pojawia się hologram i nagle któryś z mistrzów mówi z namaszczaniem: „Bandomeer: miejsce, gdzie czeka cię śmierć, jeśli nie będziesz ostrożny”.

Obudził się w szpitalnym łóżku z zagipsowanymi rękami i maską tlenową na twarzy. Przez chwilę był pewien, że jeszcze śni... Nad nim stał Oui-Gon Jinn. Gdy jednak duża, chłodna dłoń rycerza dotknęła jego ramienia, zrozumiał, że to się dzieje naprawdę.

- J-jak?.. - zdołał tylko wyszeptać. Oui-Gon Jinn cofnął rękę i odsunął się nieco.

- Nic nie mów - powiedział łagodnie. - Masz paskudną gorączkę, ale wszystko będzie dobrze. Ja się teraz tobą zajmę. Twoje rany są zbyt poważne, by zostawić cię w rękach lekarzy.

- Czy to naprawdę ty? - zapytał Obi-Wan, czyniąc wysiłek, by rozjaśnić swój przyćmiony umysł.

Rycerz uśmiechnął się. Obi-Wan nigdy wcześniej nie widział uśmiechu na jego twarzy; Oui-Gon wydawał mu się uosobieniem chłodu i surowości. Z przyjemnością stwierdził teraz, że nie zawsze jest taki.

- Tak, to naprawdę ja - zapewnił.

- Czy przybyłeś tu specjalnie dla mnie? - W oczach Obi-Wana błysnęła nadzieja. Pytanie nie należało do mądrych, ale był zbyt słaby, by głowić się nad rzeczywistą przyczyną obecności rycerza na statku.

Oui-Gon potrząsnął głową.

- Ja także zmierzam na Bandomeer. Senat Galaktyczny powierzył mi pewną misję. To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Tak czy inaczej, jesteśmy razem - odrzekł Obi-Wan.  
- Mógłbyś mi pokazać...

Rycerz znów zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

- Mówiłem ci już: to nie ma nic wspólnego z tobą. Nasze losy będą innymi ścieżkami. Najwyższy czas, byś zrozumiał, że ludziom można służyć na różne sposoby. Zapomnij o mnie. Nie będziesz Rycerzem Jedi, ale twoja misja jest także zaszczytna.

W jego głosie nie było okrucieństwa, lecz słowa, które wypowiedział, poraziły chłopca jak ostrze miecza. Wyglądało na to, że ilekroć budziła się w nim nadzieja, natychmiast była niweczona.

Było jasne, że nawet jeśli przypadek zetknął ich na tym statku, Oui-Gon nie chce mieć z Obi-Wanem nic wspólnego. Jeśli szkolna plotka mówiła prawdę, to każdy nowy kandydat mógł tylko boleśnie przypominać Oui-Gonowi



jego dawno utraconego Padawana. Trudno walczyć z przeszłością.

Chłopak zdusił w sobie rozczarowanie i starał się wyglądać na silnego, wbrew fizycznej słabości.

- Rozumiem - powiedział spokojnie.

Drzwi sali uchyliły się lekko i w szparze pojawiła się trójkątna arconiańska głowa. Błyszczące zielone oczy zerknęły z ciekawością na Obi-Wana. Gdy jednak intruz spostrzegł, że został zauważony, natychmiast cofnął się i zamknął drzwi.

Obi-Wan zwrócił się do Qui-Gona:

-Tak, masz rację. Powinienem przede wszystkim myśleć o swojej misji. Będę... - urwał znowu. Drzwi skrzyknęły raz jeszcze. Spróbował podnieść się na łokciu. - Proszę wejść! - krzyknął.

Arconianin wślizgnął się do pokoju. Był raczej niski, a jego skóra miała bardziej zielony niż szary odcień.

- Nie chcielibyśmy przeszkadzać... - zaczęła niepewnie.

Wszystko w porządku - odrzekł uprzejmie Obi-Wan.

...ale powiedziano nam, że zastaniemy tu Clat'Hę. W jej sytuacji dobrze jest czasami z kimś porozmawiać... Usłyszeliśmy o jakimś młodym chłopcu, który stoczył bitwę z Huttami i przeżył - rzekł cicho Arconianin. - Chcielibyśmy zobaczyć tego bohatera. Przepraszamy za najście. Może lepiej poczekamy na zewnątrz? - Ruszył do drzwi.

Czemu ciągle mówił w liczbie mnogiej? Jasne! Obi--Wan przypomniał sobie: Arconianie zawsze mówią o sobie

„my”, gdyż nie wykształciło się u nich poczucie indywidualnego istnienia. Całe życie spędzają razem w swoich koloniach.

Powiniem cię chyba wyprowadzić z błędu - odparł Obi-Wan. - To nie była żadna wielka bitwa. Po prostu małe nieporozumienie między mną a pewnym Huttem. Jaki ze mnie bohater?

Już to, że w ogóle przeżyłeś, przynosi ci zaszczyt - wtrącił Qui-Gon.

-Właśnie. - Arconianin zbliżył się o kilka kroków. - Huttowie terroryzują nas od dawna. Ty zaś wykazałeś się siłą i odwagą. Podziwiamy cię za to. W naszych oczach jesteś bohaterem.

Obi-Wan spojrział bezradnie na Qui-Gona. Nie było sposobu, by przekonać Arconianina, że jego pochwały są mocno przesadzone. Rycerz odwrócił się, aby ukryć uśmiech.

-W porządku, usiądź i przedstaw się - powiedział Obi-Wan. - Potrzebuję teraz wielu przyjaciół.

- Nazywamy się Si Treemba - odrzekł Arconianin, siadając na krześle. - Ciebie zaś znamy pod imieniem Obi-Wan Kenobi. To dla nas zaszczyt, że uważasz nas za swego przyjaciela.

Drzwi otworzyły się szeroko i Clat'Ha z pośpiechem wpadła do pokoju.

- Dobrze, że tu jesteś - powiedziała do Si Treemby. Arconianin spuścił wzrok.

- Chcieliśmy tylko... - zaczął, lecz Clat'Ha przerwała mu ostro, zwracając się do Qui-Gona:

- Mamy kłopot - rzekła bez zbędnych wstępów. - Ktoś się dobrał do naszego wyposażenia. Młody Si Treemba odkrył to podczas rutynowej kontroli. Mieliśmy trzy maszyny do drażnienia tuneli i wszystkie trzy zostały uszkodzone.

- W jaki sposób? - zapytał Oui-Gon. Si Treemba zrobił krok do przodu.

- Ktoś ukradł termokomy kontrolujące temperaturę wewnątrz tych urządzeń. Tuleje łączące były przyspawane na głucho tak że nie mogły przenieść sygnału przegrzania.

- Co to oznacza? - zapytał Obi-Wan. Oui-Gon pomyślał chwilę.

Te maszyny potrafią się przebić nawet przez litą skałę. Oczywiście, łatwo wtedy o przegrzanie. Dlatego właśnie mają wmontowane termokomy. Bez nich przestaje działać system chłodzenia, a wtedy maszyna będzie kopać aż do stopienia obwodów. Ludzie w środku spalą się żywcem.

Właśnie tak - powiedziała z gniewem Clat'Ha. - Myślę, że wiemy, czyja to sprawka.

Z korytarza dobiegł tubalny głos, mówiący po huttyjsku:

- Się batha ne beechee ta Jemba? Czy mówisz o mnie, Wielkim Jemie?

Hutt, który zajrzał do pokoju, był jeszcze większy niż ten, który wczoraj pobił Obi-Wana. Huttowie żyją setki lat i nigdy właściwie nie przestają rosnąć, a wraz z rozmiarami ciała rośnie też ich spryt i przebiegłość. Wielki Jemba miał usta tak wielkie, że mógłby połknąć trzech ludzi naraz. Jego ogromna twarz wypełniła całe drzwi.

- Tak, właśnie rozmawialiśmy o tobie - odrzekł spokojnie Oui-Gon. - Wejź więc, proszę... jeśli zdołasz.

Jemba ukucnął na korytarzu.

- Już od wielu lat nie mieszczę się w takich dziurach jak ta - zagrzmiał. - Czemu ty nie wyjdiesz do mnie, Jedi?

Oui-Gon odważnie wyszedł na korytarz i stanął na przeciw Jemby.

Jesteś oskarżony o zniszczenie arconiańskich maszyn drążących.

Aaaaa... - Jemba podrapał się po brodzie. Znanym huttyjskim gestem położył rękę na sercu, zapewniając w ten sposób o swojej niewinności.

- Ja? Nigdy w życiu! Przysięgam, Jedi. Zresztą, czy wyglądam na kogoś, kto pełza po kanałach, żeby niszczyć czyjeś maszyny?

Obi-Wan nie wierzył w ani jedno słowo Hutta, ale nie mógł się powstrzymać od śmiechu, gdy wyobraził sobie Jembę pełzającego gdziekolwiek.

Oczywiście wierzę ci, że nie zrobiłeś tego osobiście, o Wielki - rzekł Oui-Gon. - Ale mógł to zrobić któryś z twoich ludzi, z twojego rozkazu.

Aaaa...! Aaaa...! - Jemba skulił się na moment jak gigantyczny robak, a potem znów położył rękę na sercu. - Boli mnie takie oskarżenie! Nic nie wiem o tej sprawie. Spójrz w moje serce, Jedi, zobaczysz, że nie kłamię! Czemu wszyscy posądzają mnie o najgorsze rzeczy, tylko dlatego, że jestem Huttem? - Dumnie wypiął pierś. - Jestem uczciwym biznesmenem!

Dość tego - przerwała z oburzeniem Clat'Ha. Stała na wprost Jemby, z rękami na biodrach, gotowa użyć

blastera, który miała tuż przy nodze. - To oczywiste, że ktoś z twoich ludzi ukradł termokomy!

- Nic o tym nie wiem, przysięgam! - wrzasnął Jemba. Clat'Ha sięgnęła po blaster.

Oui-Gon podniósł rękę ostrzegawczym gestem.

A jeśli - chytre oczka Jemby zwęziły się nagle - to zwykła prowokacja? Sami mogliście przecież to zrobić, by podejrzenie padło na nas. Wszyscy dobrze znają wasza bezrozumną nienawiść do mnie. Już wcześniej naciskaliście na gildię górniczą, by nas wyrzuciono z Bandomeer. Teraz próbujecie mnie postawić przed sądem!

Nie obchodzi mnie, czy staniesz przed sądem, czy nie - odrzekła z furią Clat'Ha. - Chcę tylko, żebyś stąd zniknął!

Oczywiście - zarechotał Jemba i spojrzał na Qui-Gona, jakby szukając u niego współczucia: - Widzisz, co ja muszę znosić? Jak biedny Hutt ma sobie poradzić z tak bezrozumną nienawiścią?

-Wybacz, Jemba - powiedziała Clat'Ha z sarkastyczną uprzejmością - ale nienawiść do kłamców, tchórzy i morderców nie świadczy chyba o braku rozumu?

Ogromne cielsko Hutta zatrzęsało się z oburzenia.

- Jeszcze nie dolecieliśmy na Bandomeer, a ta kobieta już próbuje mnie oczernić przed gildią, I upokorzyć! Słuchajcie tylko, jak się do mnie zwraca: kompletnie bez szacunku!

- Nie potrafię cię szanować, Jembo - odrzekła Clat'Ha - i nie potrafię cię też upokorzyć. Z nadętym patosem kłamiesz i wypierasz się wszystkiego w żywe oczy.

Jemba wydał gniewny okrzyk i widać było, że chce rzucić się na Clat'Hę. Naparł całym ciałem na framugę drzwi, która zaczęła niebezpiecznie trzeszczeć. Si Treemba ze strachu aż zaświstał i przywarł do ściany. Obi-Wan patrzył na to wszystko z mimowolną fascynacją. Wielki Hutt mógłby z łatwością roznieść cały pokój!

Clat'Ha wycelowwała już blaster, lecz Oui-Gon nie chciał dopuścić do rozlewu krwi. Wysunął się do przodu i podniósł rękę na znak, że chce rozmawiać. Obi-Wan poczuł w powietrzu subtelny powiew Mocy.

- Wystarczy - powiedział rycerz uspokajająco.

Jemba nagle przestał się wdzierać do pokoju. W gruncie rzeczy on też nie mógł pozwolić sobie na to, by komukolwiek zrobić krzywdę przy świadkach. Oui-Gon zerknął na Clat'Hę. Dziewczyna powoli opuściła blaster i wsunęła go z powrotem do kabury. Obi-Wan podziwiał, z jaką umiejętnością rycerz zażegnał walkę. To była właśnie jedna z tych rzeczy, jakich chciałby się od niego nauczyć.

A teraz - odezwał się Jedi pojednawczym tonem - spróbujmy podsumować sytuację. Maszyny zostały uszkodzone. Nikt nie przyznaje się do winy. Nie pozostaje wam więc nic innego jak wojna. - Przez chwilę przenosił wzrok z jednego na drugie. - A tego przecież nie chcecie, prawda?

Uważasz się za porządnego człowieka, Jedi - powiedział Jemba - ale gdy ludzie walczą z Huttami, zawsze bierzesz właśnie ich stronę. Nawet najporządniejszy człowiek nie zwróci się przeciwko swoim. - W głosie Hutta nie było już nic prócz szyderczego jadu. - Jeśli ona chce

Usunięto

wojny, będzie ją miała. A jeśli ty weźmiesz jej stronę, przysięgam, wycisnę cię jak owoc pta! Nawet status **Rycerza** Jedi nic ci nie pomoże!

Usunięty

Groźba ciężko zawisała w powietrzu. Było oczywiste, że Hutt nie zawaha się jej wykonać. Był zdolny zabić każdego, kto stanie mu na drodze. Obi-Wan nigdy jeszcze nie widział tak podłej kreatury.

Usunięty

„A przecież tak łatwo było go unieszkodliwić na zawsze” - pomyślał. Wielki Hutt nie miał żadnego pola manewru w wąskim korytarzu. Oui-Gon mógł bez trudu przeciąć go na połowę swoim mieczem świetlnym, ale rycerz tylko lekko się skłonił.

- Dziękuję za ostrzeżenie - powiedział całkiem normalnym tonem.

„Oczywiście - pomyślał Obi-Wan. Ostrzeżenie jest darem dla wojownika”.

Usunięty

Jemba oddalił się, zadowolony z siebie. Claj'Ha mogła wreszcie odetchnąć.

Usunięty

- Już dobrze, już dobrze - mamrotała do siebie. Nagle rzuciła się do drzwi. - Muszę ostrzec naszych ludzi! Jeśli to nawet nie jest wojna, bardzo ją przypomina.

Wypadła jak burza z pokoju. Oui-Gon ze smutkiem potrząsnął głową.

Usunięty

Między tymi dwojgiem jest straszna nienawiść. Żadne nie chce słuchać drugiego.

Nie rozumiem - powiedział Obi-Wan - jak mogłeś pozwolić temu Huttowi odejść spokojnie? Nawet jeśli tym razem jest niewinny, z pewnością ma niejedną zbrodnię na sumieniu.

Masz rację - przyznał Owi-Gon. - Ale Clai'Ha może się bronić. Kodeks Jedi pozwala interweniować tylko wtedy, gdy ktoś nie ma innej możliwości obrony.

Usunięto

Jeśli któryś z ludzi Jemby uszkodził te maszyny, dlaczego on go nie odnajdzie i nie postawi przed sądem? - zapytał Owi-Wan.

Bo to by go postawiło w bardzo niekorzystnym świetle - odrzekł rycerz. - Nawet Jemba musi się liczyć z opinią gildii. Może dostać zakaz wstępu na Bandomeer... Dobrze o tym wie i dlatego woli umyć ręce.

Sformat  
Wysunięto

Usunięto

Ach - domyślił się nagle Si Treemba - Clai'Ha jest w podobnej sytuacji. Gdyby udowodniono jej prowokację, nie miałyby już czego szukać w gildii.

Usunięto

Usunięto

Ale przecież łatwo można znaleźć winowajców - powiedział Owi-Wan, niezwykle podekscytowany pomysłem, który właśnie przyszedł mu do głowy.

Owi-Gon z lekka uniół brwi. - Nie mieszaj się do tego - ostrzegł surowym głosem.

- Twoja nadgorliwość może ich wpędzić w jeszcze większe kłopoty. Lepiej trzymaj się z dala od tego, co się tu dzieje.

Usunięto

A jeszcze dalej od tamtej części statku. Na razie twoje miejsce jest tu, w szpitalu, Owi-Wanie.

Powiedziawszy to, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Chłopak odczekał parę chwil, a potem ostrożnie podniósł się z łóżka.

- Jedi wyraźnie powiedział, że jeszcze nie jesteś zdrow - wykrzyknął z przestachem Arconianin.

Usunięto

- Si Treemba - powiedział z namysłem Owi-Wan - czy potrafisz określić, jakiej wielkości są te termokomy?

Sformat  
Pierwsz



- Mniej więcej takie. - Arconianin rozsunął dłonie na szerokość jakichś dziesięciu centymetrów. - Nietrudno je ukryć.

Usunięty

- Jeśli je znajdziemy, od razu będzie wiadomo, kto to zrobił - rzekł z przekonaniem Obi-Wan.

To prawda - zgodził się Si Treemba. Nagle znieruchomiał i wydał ten sam dziwny świszczący dźwięk. - Przykro nam. Ale gdy ty mówisz: „my”...

To mam na myśli mnie i ciebie.

Aaach - westchnął Arconianin. Jego zielonkawa skóra zbladła nagle. - Czy to znaczy, że musimy przedostać się na ich stronę?

Obawiam się, że tak - przyznał chłopak.

Wiedział, jakie to ryzykowne, I wiedział też, że Oui--Gon stanowczo zabronił mu tej wyprawy. Ale on przecież nie był uczniem Qui-Gona. Nie miał obowiązku być mu posłuszny.

Rycerz niewątpliwie uznał, że młody Obi-Wan nie jest godny wypełnić tak odpowiedzialnego zadania. A więc trzeba mu udowodnić, że się mylił. Poza tym chłopca w najmniejszym stopniu nie przekonały te wszystkie wywody na temat kodeksu Jedi. Kodeks kodeksem, a gdzie zwykła ludzka sprawiedliwość? W tej sytuacji nie mógł pozostać obojętny.

Usunięty

Usunięty

- Podziwiam Clai'He - powiedział Obi-Wan - za jej niewiarygodną odwagę. Ale na swoim terytorium Jemba będzie jeszcze silniejszy. Jest bezwzględny, podstępny i najprawdopodobniej wrócimy z niczym, o ile w ogóle wrócimy. A jednak trzeba go jakoś powstrzymać. To takie

Usunięty

**proste - a zarazem takie trudne... Nie będę miał żalu, jeśli się wycofasz, Si Treemba. Nadal pozostaniemy przyjaciółmi.  
Si Treemba nerwowo przełknął ślinę.  
Pójdziemy z tobą - powiedział stanowczo.**

## ROZDZIAŁ 9

Obi-Wan miał wreszcie poczucie celu, a to natychmiast przywróciło mu siły. Razem z Si Treembą zdecydowali się zacząć od łatwiejszego zadania i przeszukać na początek arconiańską stronę statku.

Bez wzbudzania podejrzeń mogli sprawdzić kuchnię, magazyny, siłownię i hol. Obi-Wan zawlókł nawet swojego nowego przyjaciela na sam dół, do zsypu na śmieci. Oczywiście nigdzie nie było nawet śladu skradzionych termokomów.

Musimy przeszukać kabiny - powiedział Obi-Wan, strząsając z włosów jakiś śmieć. Miał trochę niepewną minę. Na statku było ponad czterystu arconiańskich górników i trudno było oczekiwać, że każdy z nich bez protestu pozwoli grzebać w swoich rzeczach.

To żaden problem. - Si Treemba wzruszył ramionami. Obi-Wan zapomniał, że Arconianie myślą inaczej niż ludzie. W ich języku nie było słów „ja” i „moje”. Si Treemba mógł spokojnie odwiedzać jedną kabinę po drugiej i w każdej przeprowadzać gruntowną rewizję. Jego krajanie pytali najwyżej:

- Co robimy?

Szukamy zagubionej rzeczy - odpowiadał niezmiennie, I to wystarczyło. Czasami któryś zapytał:

Czy mogę ci jakoś pomóc?

Nie, damy sobie radę - odpowiadał wtedy Si Treemba, spokojnie kończył poszukiwania i przechodził do następnej kabiny.

Nie wszyscy jednak w tej części statku pochodzili z Arcony. Było też trochę krępych, srebrnowłosych Meerian i paru ludzi. Z nimi należało postępować dużo ostrożniej. Obi-Wan kilkakrotnie musiał użyć Mocy, chcąc przekonać jednego czy drugiego górniką, by pozwolił na rewizję.

Jak dla rekonwalescenta, była to wyczerpująca praca, ale Obi-Wan ignorował ból i osłabienie. Prawdziwy Jedi nie poddaje się takim uczuciom. Po długim dniu wreszcie dotarli z Si Treembą do kuchni na spóźniony posiłek. Obi-Wan wziął na kolację pieczeń z alderiańskiego goraka w płatkach kwiatu mała. Si Treemba jadł grzyby z daktylitem. Daktylit to rodzaj żółtych kryształów amonowych. Arconiańskie jedzenie pachniało... nieźle. Grzyby nie były nawet takie złe, tylko daktylit załatywał lekarstwem.

Obi-Wan zatkał nos.

- Jak możesz jeść coś takiego?

Si Treemba uśmiechnął się.

- Niektóre istoty nie mogą się nadziwić ludzkiemu upodobaniu do wody. Daktylit jest nam niezbędny do życia, tak jak wy potrzebujecie płynów.

Mówiąc to, wziął parę chrupiących żółtych kamyczków i z widoczną przyjemnością wsypał je sobie do ust jak

orzeszki. Kiedy zaś Obi-Wan sięgnął po sól, z przestraszeniem odsunął swój talerz.

- Sól stokrotnie zwiększa zapotrzebowanie organizmu na daktylit - wyjaśnił. - To bardzo niebezpieczna substancja dla Arconian.

Obi-Wan posolił swojego goraka.

- Dla każdej rasy co innego jest trucizną - stwierdził filozoficznie, biorąc do ust kęs pieczeni.

Si Treemba zerkał na niego, chrupiąc swój daktylit. Przez chwilę chłopcu mogło się wydawać, że znów jest w Świątyni; wszystko było prawie tak jak wtedy, gdy siadał do śniadania z Bant czy Reeftem. Tęsknił za dawnymi przyjaciółmi, lecz coraz bardziej lubił Si Treembę. Imponowała mu jego dzielność i zdecydowanie. A poza tym zdawał sobie sprawę, ile odwagi wymaga od Arconianina oderwanie się od swojej grupy i współdziałanie z obcym.

- Wiesz - powiedział - jest w tym wszystkim coś, czego nie mogę zrozumieć. Jemba odstawił wprawdzie niezłe przedstawienie, ale czuję, że on się boi Clat'Hy i Arconian.

Si Treemba miał właśnie usta pełne daktylitu i grzybów.

- Myślimy, że masz rację, Obi-Wanie - odrzekł, przełknąwszy wreszcie swój przysmak. - On naprawdę się nas obawia. Dobrze wie, że zniszczymy go kiedyś, nawet nie żywiąc żadnych wrogich zamiarów.

W jaki sposób? - zapytał Obi-Wan.

Kierownictwo Korporacji Pozaplanetarnej zbija fortunę, a zwykli pracownicy nic z tego nie mają. Wielu z nich to niewolnicy. Natomiast u nas każdy pracuje na własny rachunek. Nie mamy nadzorców. Mogli spać spokojnie, dopóki

Clat'Ha nie objęła stanowiska szefa wydziału operacyjnego. Ona postawiła na rozwój naszej Korporacji. Nawiązała kontakt z najlepszymi pracownikami. Zaoferowała im znacznie lepsze warunki. Zaczęła też wykupywać niewolników i obiecała im zwrócić wolność, pod warunkiem, że będą pracować dla nas.

To brzmi uczciwie - powiedział Obi-Wan.

To jest uczciwe - odrzekł Si Treemba. - Właśnie dlatego Jemba tak się nas boi. Wielu dobrych pracowników Korporacji Pozaplanetarnej chce przejść do nas. Niedługo zostaną im tylko tacy, którzy nic nie umieją i na niczym się nie znają.

Rozumiem - kiwnął głową Obi-Wan. - A więc za parę lat Jemba będzie miał samych szefów, a nie będzie kim rządzić. Jest się czego bać.

Si Treemba uśmiechnął się szeroko, ale po chwili znów spoważniał.

- Ale Jemba nas zakablował. Podwyższył ceny na pracowników kontraktowych: niewolników. Nie stać nas już na masowy wykup górników.

Obi-Wan powoli zaczął pojmować, że życie w galaktyce jest dużo bardziej skomplikowane, niż mu się z początku wydawało. Świątynia przygotowała go na wiele rzeczy, ale nie na to, o czym teraz się dowiadywał. Owszem, słyszał w szkole, że na wielu planetach panuje bezprawne niewolnictwo, ale sądził, że są to raczej pojedyncze przypadki. Tu, na statku, zobaczył setki istot poddanych tym nielegalnym praktykom.

Przerażała go sama idea niewolnictwa. Skoro Korpora-

cja Pozaplanetarna wydaje wielkie sumy na zakup i przewóz niewolników, jasne, że nie będzie skłonny sprzedać ich za bezcen... czy oddać bez walki. Clat'Ha miała rację, mówiąc, że znalazł się na linii frontu. Ta wojna prawdopodobnie toczy się teraz we wszystkich osiedlach górniczych na setkach planet.

Miał ochotę natychmiast chwycić swój świetlny miecz, ruszyć na tamtą stronę statku i raz na zawsze rozprawić się ze złem. Rozumiał jednak, że to nie jest takie proste. Ta walka wymaga innych metod. Przede wszystkim trzeba znaleźć termokomy. Jedynym sposobem pokonania Jemby jest zdemaskowanie go.

Odsunął swój talerz.

- Przeszukaliśmy już naszą część statku, Si Treemba - powiedział miękko. - Teraz mamy pewność, że termokomy są po tamtej stronie.

Arconianin wziął głęboki oddech i odrzekł wolno:

- To dobrze. Jesteśmy zadowoleni.

Zadowoleni? - zdziwił się Obi-Wan. - Przecież musimy teraz dostać się na teren Korporacji Pozaplanetarnej! Myślałem, że boisz się Huttów.

Tak, boimy się ich - przyznał Si Treemba. - Ale mimo wszystko sprawia nam wielką radość, że termokomów nie ukradł żaden z naszych ludzi. Dowiedliśmy naszej niewinności, Obi-Wanie. To dużo.

- Chyba cię rozumiem - rzekł cicho chłopak. Arconianie wykluwali się z jaj i dorastali w ogromnych stadach, pośród setek braci i sióstr. Od małego uczyli się myśleć o sobie jako o grupie. Podejrzenie, że któryś z nich

mógłby zacząć działać na szkodę społeczności, było zbyt straszne dla Arconianina. Burzyło cały jego świat.

- Czy jesteś gotowy pójść na drugą stronę? - zapytał Obi-Wan. - Jakoś musimy się tam wślizgnąć.

Si Treemba odstawił swój talerz. - Już ci mówiliśmy, Obi-Wanie: pójdziemy z tobą.

I pewnie już tego żałujesz - uśmiechnął się Obi-Wan.



## ROZDZIAŁ 10

Czołgali się przez ciasny kanał wentylacyjny. Obi-Wan ostrożnie zajrzał przez kratkę w głąb ciemnej kabiny, gdzie chrapał wielki Whipid, wydzielając odór kwaśnego potu i taniego dresseliańskiego piwa.

Kabina wyglądała jak istny pomnik brudu, podobnie zresztą jak wszystkie inne, które Obi-Wan widział tego dnia po huttyjskiej stronie statku. Whipid był ubrany w brudne, niedbale wyprawione skóry zwierząt z jego macierzystej planety Toola. W każdym rogu piętrzył się stos pomalowanych zwierzęcych czaszek; wyglądały jak myśliwskie trofea. Co gorsza, Obi-Wan odkrył, że wraz z Whipidem mieszkają w kabinie Huttowie: na podłodze wały się na wpół ogryzione zwierzęce kości.

Przez długą chwilę obserwował pomieszczenie z góry. Whipid najprawdopodobniej był pijany. Zapewne do późnej nocy rznął z kumplami w sobaca czy jakąś karcianą grę.

A jednak Obi-Wan czuł, że coś jest nie w porządku. Whipid równie dobrze mógł tylko udawać pijanego. Co będzie, jeśli wpadną w zasadzkę?

Próbował zajrzeć głębiej do kabiny. Wydawało się, że nikogo tam nie ma, z wyjątkiem śpiącego Whipida. Ale kąty pokoju tonęły w ciemności.

Jego niepokój narastał z każdą chwilą. Czuł ciemne fale Mocy, ale nie miał pojęcia, skąd dochodzą. Zło było wszechobecne w tej części statku, oddychało się nim jak zatrutym powietrzem. Przeszukali już z Si Treembą wiele kabin. Znaleźli nielegalną broń - pociski rozrywające i granaty biotyczne - oraz małą kasetkę wypełnioną kartami kredytowymi, które z całą pewnością były kradzione. Nie natrafili jednak na żaden ślad termokomów.

Jeszcze raz przyjrzał się dokładnie Whipidów!. Zauważył broń, ukrytą pod poduszką. Nie było w tym zresztą nic podejrzanego: takie kreatury zawsze śpią z bronią gotową do strzału. Na wszelki wypadek.

Whipid oddychał szybko, nieregularnie. Jeśli w ogóle spał, to bardzo płytko; mógł go zbudzić najmniejszy szelest.

Zbyt często w przeszłości Obi-Wan popadał w kłopoty z powodu swojej niecierpliwości. Tym razem postanowił zaufać intuicji, która ostrzegała go przed niebezpieczeństwem.

Ostrożnie, nieomal bezszelestnie przemknął nad otworem. Raz jeszcze obejrzał się za siebie. W czarnym tunelu zamajaczyła twarz Si Treemby. Biedak z wielkim trudem przeciskał swą ogromną głowę przez wąski kanał.

Nagle Arconianin uderzył głową w metalową ściankę. Dźwięk nie był głośny, ale w nocnej ciszy zabrzmiał jak wystrzał. Obi-Wan znieruchomiał.

Arconianie ewoluowali w ciemnych tunelach swej planety, Arcony, więc naturalną kolejną rzeczą ich oczy nabrały bioluminescencyjnych właściwości. Świeciły w ciemności, jak u drapieźników, choć Arconianie, rzecz jasna, nie byli drapieźnikami.

Można było tylko mieć nadzieję, że Whipid nie spojrzy w górę. Jeśli w ogóle się obudzi. Na razie nic na to nie wskazywało.

Obi-Wan wstrzymał oddech i bezgłośnie ruszył naprzód. Z następnej kabiny dochodził jeszcze gorszy smród - mieszanina zjełczanego tłuszczu i dawno nie mytych włosów. Słysząc było tubalny śmiech Huttów i zwierzęce skomlenie Whipidów.

Ostrożnie zajrzał do środka. W kabinie było pełno Huttów i Whipidów, grających w kości na podłodze.

Si Treemba nie powinien był czołgać się za nim aż tak daleko. A w ogóle, trzeba było już wracać, I tak już dość zrobili jak na jeden dzień. Obi-Wan obawiał się, że nie znajdą powrotnej drogi w labiryncie tuneli.

Obejrzał się na Si Treembę i z przerażeniem stwierdził, że Arconianin, z twarzą przyklejoną do kraty otworu wentylacyjnego, zagląda do jakiejś kabiny. A oczy? Te fosforyzujące oczy? Zamachał rękami, by zwrócić jego uwagę, I właśnie w tym momencie poraził go oślepiający błysk światła i huk, prawie rozrywający bębny w uszach.

**Ktoś strzelił z blastera!**

**W powietrzu zapachniało spalenizną. Wpadli w pułapkę!**

Obi-Wan gestem przyzywał Si Treembę do siebie. Za późno. Z otworu wysunęła się wielka włochata łapa

i chwycił Arconianina za gardło. Jego błyszczące oczy rozszerzyły się ze strachu. Wydał charczący, nieartykułowany dźwięk, który mógł być wołaniem o pomoc. Włochata łapa jednak szybko przeciągnęła go przez otwór. Obi-Wan usłyszał tylko odgłos ciała padającego na podłogę.

Do jego uszu dobiegł szyderczy śmiech Hutta.

- A ty myślałeś, że to szczury! Mówiłem ci, że czuję Arconianina!

Obi-Wan poczuł, że serce w nim zamiera. Uświadomił sobie nagle, że w każdej chwili ktoś uzbrojony w blaster może wyjrzeć przez kratę, domyślając się, że Arconianin nie był sam.

Od najbliższego zakrętu dzieliło go jakieś dwadzieścia metrów. Gdy w końcu udało mu się pokonać tę odległość, pot zalewał mu twarz. Ale był bezpieczny. Z dołu dobiegały krzyki Si Treemby. Whipid też wrzeszczał, tyle że z wściekłości. Obi-Wan zasłonił uszy rękami. Dałby wszy-stko, by nie słyszeć krzyków przyjaciela, ale słyszał je ciągle. Czuł się winny. To on wciągnął Arconianina w tę awanturę.

W kanale zadudnił głos:

- Nie widzę nikogo.

Nie mógł wrócić po Si Treembę. Mógł jednak sprowadzić pomoc. Czołgał się więc na oślep długimi tunelami, byle jak najdalej od tego straszego miejsca.

I nagle zatrzymał się, uświadamiając sobie oczywistą prawdę, że w tej części statku żadnej pomocy nie ma i być nie może.

Oui-Gon ostrzegł go, by trzymał się z dala od terytorium Huttów. Teraz Obi-Wan pojął, że musi tam wrócić. Huttowie z pewnością wzięli Si Treembę za szpiega i postąpią z nim jak ze szpiegiem. Wezmą na tortury. Mogą nawet zabić, i pewnie nie będą z tym zwlekać.

Jakim głupcem się okazał! Powinien był się wcześniej domyślić, jak trudna będzie to wyprawa. Przyprowadził Si Treembę prosto w łapy Huttów! Wyglądało na to, że zwyczajnie wykorzystał jego przyjaźń.

Być może wątpliwości Qui-Gona co do jego osoby były całkowicie uzasadnione; może naprawdę nie był godny stać się Rycerzem Jedi.

Rąbkiem tuniki otarł pot z czoła. Upewnił się, czy świetlny miecz dobrze siedzi w pochwie.

A potem odwrócił się i ruszył przyjacielowi na pomoc.

## ROZDZIAŁ 11

Oui-Gon spuścił nogi z łóżka. Jego serce waliło jak oszalałe, każdy mięsień wibrował niespokojnie. Alarm!

Ale dlaczego?

To dziwne uczucie dopadło go w chwili, gdy był całkowicie spokojny, zrelaksowany. Teraz czuł, że niebezpieczeństwo jest blisko, choć nic mu na razie nie zagrażało.

Nagle przypomniał sobie, co to oznacza. Doświadczał już tego w przeszłości. Jedi czasami czuje, że w pobliżu inny Jedi popadł w kłopoty. Zdarza się nawet, że zobaczy wewnętrznym wzrokiem twarz człowieka, który potrzebuje pomocy. Oui-Gon gorączkowo szukał w myślach, lecz nie mógł natrafić na nic konkretnego. Wszystko widział jak przez mgłę.

- Obi-Wan - mruknął. Tak, na pewno chodzi o tego chłopca. Ale nie dopuszczał do siebie tej myśli. To niemożliwe, to absurd. Ten chłopak nie jest przecież jego Padawanem. Skąd mogłaby się wziąć tak mocna więź między nimi?

A jednak istniała. Yoda pewnie byłby zadowolony.

Oui-Gon jęknął. On nie miał powodów do zadowolenia. Ten chłopak po prostu go prześladował. Ciągłe pojawiał się na jego drodze. Owszem, rycerz z radością zajął się jego ranami, ale nie miał najmniejszej ochoty brać na siebie odpowiedzialności za jego los. Jeśli mały potrafił sam napytać sobie biedy, powinien umieć też i sam się z niej wykaraskać.

Oui-Gon znów wyciągnął się wygodnie na swoim łóżku. Ale choć z łatwością uspokoił swoje ciało, w żaden sposób nie mógł uspokoić duszy.

Czas zdawał się wlec w nieskończoność, gdy Obi-Wan rozpaczliwie szukał Si Treemby w labiryncie niezliczonych pomieszczeń na statku. Czołgał się wzdłuż szybów wentylacyjnych, zaglądając do kabin przez kratki. Ręce lepiły mu się od brudu, a pył wchodził do oczu i ust, kiedy przeciskał się przez kanały, nie czyszczone chyba od stuleci.

W końcu odnalazł swego przyjaciela na czwartym poziomie poniżej środkowego pokładu, w małej kabince przerobionej na tymczasowy areszt. Obi-Wan nie był zdziwiony, że na statku znajduje się takie pomieszczenie. Przy takiej liczbie różnych istot przestępstwa musiały być na porządku dziennym.

Si Treemba leżał przykuty łańcuchem do ściany. Ręce miał związane z tyłu. Blisko, lecz poza zasięgiem jego ust, wały się po podłodze żółte kryształowe daktylitu. Zaledwie kilka kroków dalej Hutt i dwóch whipidzkich strażników grało w karty na masywnym metalowym stole.

Arconianin był mocno posiniaczony, wyglądało, że go bito bez miłosierdzia. Było jednak coś dużo bardziej niepokojącego: jego skóra, zwykle szarzielona, przypominała ciemne błoto. To nie mógł być skutek zwykłego pobicia. Obi-Wan czuł wyraźnie, że siły życiowe Si Treemby są mocno nadwątlone. Ale dlaczego? Przecież wczoraj zjadł swoją porcję daktylitu. Czemu osłabł tak szybko?

Hutt stanął nad więźniem i wyszczerzył zęby, patrząc na niego z góry. Obi-Wan rozpoznał go natychmiast. To ten sam, z którym miał wczoraj do czynienia.

- Namysliłeś się? - zapytał. - Będziesz gadał? A może nie chcesz daktylitu? Mogę dać ci parę kryształków...

Si Treemba patrzył na niego spokojnie. Ale Obi-Wan doskonale wyczuwał, że w ten sposób maskuje lęk.

Hutt ukucnął, podsuwając swą ogromną pięść pod nos Arconianina.

- Co robiłeś w naszych tunelach wentylacyjnych? Kto cię tu przysłał na przeszpiegi?

Si Treemba słabo potrząsnął głową.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze - szydził Hutt. - Podaliśmy ci w zastrzyku dość soli, by wypłukać z ciebie cały daktylit. - Oddalił się nieco i znów zarechotał: - Dlaczego nie chcesz z nami rozmawiać? To cię może doprowadzić do śmierci... Ktoś tu był z tobą. Kto? Arconianie przecież nigdy nie podróżują samotnie.

Si Treemba znów potrząsnął głową. Był już tak słaby, że ten niewielki ruch o mało nie pozbawił go przytomności.

Gniew i rozpacz dodały sił Obi-Wanowi. Musiał coś zrobić. Z furią chwycił kratę i pociągnął do siebie. Ustąpiła.



Spuścił nogi przez otwór i pięknym saltem wylądował na podłodze, ściskając w dłoni świetlny miecz.

- Potrafisz tylko znęcać się nad bezbronnymi - rzucił wyzwanie Huttowi. - Może spróbujesz ze mną?

W pierwszej chwili Hutt był tak zaskoczony, że jedynie gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. Nagle zaczął się śmiać.

- Zabić go - rozkazał Whipidom.

Obi-Wan liczył na powolność strażników. Whipidzi nie odznaczyli się zbyt szybkim refleksem. Ci dwaj bezmyślnie wlepiali w niego gały. Na ich tępym mordach malował się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

Chłopak rzucił się z mieczem w rękę w stronę stołu. Świetlne ostrze bez trudu podcięło metalowe nogi. Podniósł blat z jednej strony i pchnął go na Whipidów, nieomal miażdżąc ich tym straszliwym ciężarem. Zawyli z bólu i przerażenia.

- Przepraszam, że przerwałem wam grę - powiedział Obi-Wan. Nie spuszczać oka z zaskoczonego Hutta, zdjął ze ściany pęk kluczy i rzucił je Si Treembie.

Hutt obserwował z ironią jego poczynania.

- Widzę, Jedi, że niewiele zrozumiałeś z wczorajszej lekcji. Chcesz mnie pokonać, mnie, potężnego Grelba?

- Czegoś się jednak nauczyłem - odparł Obi-Wan, trzymając ciągle miecz w pogotowiu. - Jesteś silny tylko wtedy, gdy masz do czynienia z bezbronnymi. Ale ja mam broń i będę z tobą walczył, tchórze.

Hutt z lekceważeniem popatrzył na jego miecz.

- Tym?

Obi-Wan spojrział na Si Treembę, który zdążył już uwolnić się z więzów i właśnie zjadał łapczywie kryształ daktylitu z podłogi. Jego skóra od razu zaczęła nabierać koloru.

Hutt ruszył na Obi-Wana, wznosząc swe ogromne pięści, jakby chciał go zmiażdżyć jednym morderczym ciosem. Chłopak zrobił szybki unik i przetoczył się po podłodze. To był klasyczny manewr Jedi, ćwiczony setki razy w Świątyni. Znalazłszy się w dogodniejszej pozycji, natychmiast włączył miecz i wystrzelił ognisty promień prosto w bok Hutta. Śwąd palonego ciała w jednej chwili wypełnił pokój.

Grelb zaryczał z wściekłości i zatoczył się w tył. Po-tworna masa ciała czyniła go powolnym i niezdarnym. Upadł ciężko na blat stołu, jeszcze bardziej miażdżąc Whipidów. Zawyli z bólu i zaczęli okładać Hutta pięściami.

Szybciej, Si - ponaglał Obi-Wan przyjaciela. Stojąc między Grelbem a Si Treembą, poczekał, aż Arconianin dobiegnie do drzwi. Potem ruszył za nim. Grelb już gramolił się z podłogi. Nie było jednak powodu do obaw: Hutto-wie są silni, ale brakuje im zwinności.

Nie wywiniesz się z tego, Jedi! - wrzasnął rozwście-czony Grelb. - Arconianin jest szpiegiem! To wojna!

Obi-Wan puścił pogroźkę mimo uszu. Prawie wlokąc za sobą ciągle jeszcze słabego Si, pędził w dół korytarza. Na szczęście dla nich dolny poziom nie był zbyt pilnie strzeżony. Dotarli do granicy arcońskiej strefy, nie naty-kając się na nikogo po drodze.

Przekroczywszy ją, od razu zobaczyli dwóch arcoń-

skich strażników, dokądś biegnących. Obi-Wan domyślił się, że Clat'Ha ogłosiła alarm związku z ich zniknięciem. To oznaczało też, rzecz jasna, że Qui-Gon odkrył jego nieposłuszeństwo.

Si Treemba zatrzymał się nagle. Spojrzał na Obi-Wana. Jego fosforyzujące oczy rozbłyły ciepłem i wdzięcznością.

- Dziękujemy ci, Obi-Wanie. Zawdzięczamy ci życie.

Zawdzięczasz mi także swoje uwięzienie - odrzekł Obi-Wan ze skrucą. - Przepraszam cię, Si.

Jeszcze raz uratowała nas twoja odwaga - powiedział Arconianin, ściskając mu rękę.

A co powiesz o swojej odwadze? - odparował Obi-Wan. - Pomyśl o sobie, Si Treemba! Nie zdradziłeś mnie nawet w obliczu śmierci. Stawiłeś czoło Huttowi!

Twarz Arconianina z wolna rozjaśnił nieśmiały, trochę niedowierzający uśmiech.

- Tak, zrobiliśmy to - powtarzał uradowany. - To właśnie zrobiliśmy.

- Nie wpadnij w zbytnią dumę - westchnął Obi-Wan. - Czeka nas jeszcze przeprawa z Clat'Hą i Qui-Gonem. A oni na pewno nie będą uszczęśliwieni naszymi wyczynami.

Po ucieczce Si Treemby i Obi-Wana Grelba także czekała niezła przeprawa. Musiał stanąć przed Jembą i zdać sprawę z tego, co się stało. Wielki szary Hutt zawisł nad nim jak burzowa chmura napęczniała piorunami. Jemba był o kilkaset lat starszy od Grelba, a więc i dużo większy.

- Wiedziałem - grzmiał, tocząc wściekłym wzrokiem po pokoju. - Wiedziałem od początku. Jedi i jego młody uczeń trzymają z Arconianami przeciwko mnie!

-To było do przewidzenia, o Wielki! - powiedział Grelb. - Oni nie lubią naszej rasy.

- To twoja wina! - ryknął Jemba. - Powiniennem uciąć ci ogon i zjeść go na kolację.

Grelbowi serce uciekło w piętę. Wiedział, że z Jemba nie ma żartów. Natychmiast podwinął ogon pod siebie.

- Skoro tak cię korciło, by uszkodzić te maszyny - ciągnął Jemba - trzeba było się z tym wstrzymać, aż wylądujemy na Bandomeer.

Grelb udał, że czuje się głęboko dotknięty tym oskarżeniem. Jemba nie dał się jednak na to nabrać. Chwyił go i potrząsnął z taką siłą, że Grelb wyraźnie poczuł, jak jego mózg zmienia się w rzadką galaretę. Leżąc na podłodze, skarżył się żałośnie:

- Nigdy dotąd nie miałeś zastrzeżeń do moich metod!

Metodami Grelba były złodziejstwo, sabotaż i zbrodnia, ale zawsze przynosiły one kierownictwu Korporacji Pozaplanetarnej duże korzyści.

Ale tym razem są tu Jedi! - wrzasnął Jemba.

Nie wiedziałem, że ten chłopak to Jedi - usprawiedliwiał się Grelb. - Gdybym wiedział, już by nie żył. Obiecuję, że następnym razem...

Jemba wycelował w niego swój ogromny paluch.

Nie będzie następnego razu. Teraz ja się nim zajmę.

Jak sobie życzysz - powiedział Grelb. Odwrócił się i wyslizgnął z pokoju. Gdy drzwi z sykiem zamknęły się za

**nim, zacisnął pięści, wyobrażając sobie, że miażdży gardło Obi-Wana.**

**„Oczywiście, że będzie następny raz” - obiecał sobie w duchu.**

## ROZDZIAŁ 12

Obi-Wan niczego tak nie pragnął, jak zamknąć się w swoim pokoju i przez jakiś czas nie widzieć nikogo. Wiedział jednak, że mądrzej będzie jak najszybciej poszukać Qui-Gona. Próbował przekonać Si Treembę, by trochę odpoczął przed tą rozmową, lecz Arconianin zdecydowanie się sprzeciwił:

- Razem stawimy mu czoło - powiedział, prostując się na całą wysokość.

Znaleźli rycerza i Clat'Hę w pokoju wypoczynkowym, gdzie światła były przyćmione, a z głośników sączyła się cicha muzyka arcońskich fletów. O tej porze było tam niewielu Arconian. Ci nieliczni stali nieruchomo z zamkniętymi oczami - ta pozycja zastępowała im normalny sen.

Oui-Gon stał przy barze, popijając jakiś niebieskawy sok. Clat'Ha też tam była. Nietknięta szklanka soku stała przed nią na blacie. Wystarczyło na nich spojrzeć, by się domyślić, że wiedzą już o wszystkim.

- Dobrze, że wróciłeś stamtąd w jednym kawałku - powiedział zimno Oui-Gon. - Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

Nie - przyznał ze skruchą Obi-Wan. - Złapali Si Tre-  
embę, zanim zdołaliśmy wpaść na ślad termokomów.

Obi-Wan nas uratował - wtrącił Arconianin. - Byli-  
śmy już przykuci do ściany, a wtedy pojawił się nasz przy-  
jaciel i osobiście stanął do walki z Grelbem...

Człowiek, który wchodzi na niebezpieczną ścieżkę,  
musi radzić sobie sam - przerwał mu ostro Oui-Gon.

Waleczność Obi-Wana najwyraźniej nie zrobiła na nim  
żadnego wrażenia. Si Treemba zamilkł. Spojrzał prze-  
prasząco na przyjaciela, jakby chciał powiedzieć: „Pró-  
bowaliśmy...”.

Złamałeś mój rozkaz - powiedział surowo Oui-Gon.

Z całym szacunkiem - odparł spokojnie Obi-Wan -  
nie jestem twoim Padawanem, więc nie mam obowiązku  
cię słuchać. Zawsze mi o tym przypominałeś...

Oui-Gon przez długą chwilę patrzył mu w oczy. Jego  
twarz była nieprzenikniona.

- Twój wyczyn tylko pogorszył sprawę - odezwał się w  
końcu.

Pogorszył? - zdziwił się Obi-Wan. - O czym mówisz?

A tak, pogorszył - odrzekł Oui-Gon. Ton jego głosu  
był na pozór spokojny, lecz dało się w nim wyczuć irytację.  
Jeśli Obi-Wan chciał zdobyć szacunek rycerza, to wybrał  
najgorszy z możliwych sposobów. Oui-Gon patrzył teraz  
na niego jak na nieznośnego smarkacza, na którego nawet  
nie warto się złościć. - Wdarłeś się na teren Huttów, naru-  
szyłeś ich prywatność, dałeś się złapać i jeszcze na koniec  
wdałeś się w bójkę. Sądzisz, że puszcza to wszystko  
płazem?

Warto było zaryzykować - bronił się chłopak. - Gdy by nam się udało znaleźć termokomy...

Termokomy znalazły się godzinę temu - przerwała mu Clat'Ha. - Były w beczce ze smarem. Ten, kto je tam ukrył, spodziewał się, że nigdy ich nie znajdziemy.

Obi-Wan zaniemówił ze zdumienia. Oui-Gon miał rację. Ryzyko było niepotrzebne.

- Czy teraz widzisz, że w gruncie rzeczy wcale nie chodzi o termokomy? - powiedział rycerz, starając się zachować spokój. - Jedi musi patrzeć szerzej. Kazałem ci nie mieszać się do tego, ponieważ chodzi mi o utrzymanie spokoju na statku. Trzeba odbudować zaufanie, a jak Huttowie mają ufać Jedi, gdy ci pełzają jak węże po ich terenie? Jak mogą...

Pokój zatrzęsł się nagle i w tej samej chwili rozległ się potężny huk. Szklanki z napojami ześlizgnęły się z barku i roztrzaskały na podłodze. Si Treemba chwycił się za brzuch.

Zawyły syreny alarmowe.

- Chyba z czymś się zderzyliśmy! - krzyknęła Clat'Ha. Ale Obi-Wan wiedział, że zderzenie z innym statkiem czy asteroidem w hiperprzestrzeni rozwaliloby Monument na części. Słyszał zresztą w oddali ciche hung, hung, hung - odgłos dział pokładowych.

Oui-Gon rzucił się do okna. Jego ręka odruchowo spoczęła na rękojeści świetlnego miecza.

- Piraci! - krzyknął.



## ROZDZIAŁ 13

Oui-Gon w kilku susach przeskoczył mostek i pobiegł w dół głównego korytarza. Obi-Wan, Si Treemba Clat'Ha pędzili za nim w szaleńczym wyścigu. Korytarz był pusty. Przerażeni Arconianie pozamykali się w swoich kabinach. Ich obecność zdradzały tylko świszczące dźwięki, jakie zawsze wydawali w chwilach zagrożenia.

Przez kratki w podłodze dobiegało wycie przeciążonych generatorów, z największym trudem utrzymujących pole ochronne wokół statku. Coraz głośniejsze hung, hung świadczyło, że miotacze ciągle pracują.

Oui-Gon wiedział już, co się stało. Piraci czasami zakładali miny na trasach statków handlowych. Kiedy statek trafił na taką minę, tracił hipernapęd i wypadał z hiperprzestrzeni. A wtedy był już łatwym łupem.

Piraci otwierali ogień, niszcząc broń i urządzenia pokładowe tak szybko, że załoga napadniętego statku nie miała czasu zareagować. Wchodzili na pokład i brali, co chcieli. Na Monumencie nie było wprawdzie nic, co mogłoby ich zainteresować, ale skąd mogli o tym wiedzieć. Podłoga zatrzęsa się od kolejnej eksplozji. Statek

zakotłosał się, a Qui-Gona odrzuciło aż na ścianę. Tuż obok był niewielki luk widokowy. Wyjrzał przez przezroczystą plastikową szybę i zobaczył pięć togoriańskich statków wojennych, które wyglądały jak czerwono ubarwione drapieżne ptaki. Dwa z nich wystrzeliły jednocześnie. Zielony błysk ognia oślepił go na moment. Zaskwierczał przypiekany metal. Korytarze wypełnił gryzący dym.

Działa Monumentu zamilkły. Qui-Gon wiedział dlaczego - ich lufy zostały zmiecione ogniem pirackich miotaczy. W miejscu, gdzie stały jeszcze przed chwilą, widniały tylko, jak jarzące się gwiazdy, czerwone kawałki żużlu.

Monument bezsilnie dryfował w przestrzeni. Wyły syreny przeciwpożarowe, ale nikt nie wydawał rozkazów. Togoriański krążownik zbliżał się niebezpiecznie do statku.

Qui-Gon był bezradny. Sam nie mógł zrobić nic w tej sytuacji. Żałował, że nie ma przy nim Xanatos, jego dawnego Padawana.

- Obi-Wanie! - krzyknął nagle. Nie ufał mu w pełni, ale nie miał wyboru. Musieli działać razem, jeśli chcieli w ogóle ująć z życiem. - Piraci szykują się, by wejść na nasz statek - powiedział bez ogródek. - Spróbuję ich zatrzymać. Idź na mostek i sprawdź, czy ktoś z załogi został przy życiu. Jeśli nie, sam musisz usiąść przy sterach. Trzeba stąd uciekać.

Twardo patrzył na chłopca. Wiedział, że wiele od niego żąda. Jako uczeń Jedi, Obi-Wan prowadził kilka statków na symulatorze i kilka razy pilotował powietrzną taksówkę nad Coruscant, ale nigdy nie siedział za sterami tak wielkiego statku i nie brał udziału w prawdziwej bitwie.

- Ale ja chcę walczyć u twego boku - zaprotestował Obi-Wan.

Oui-Gon mocno chwycił go za ramiona.

- Posłuchaj mnie, chłopcze. Tym razem musisz wypełnić mój rozkaz. Zaufaj mi. Mogę powstrzymać piratów, ale wszyscy zginiemy, jeśli nie uda się uruchomić statku. Nieważne, dokąd doleci. Każdy kierunek jest dobry. Kiedy część piratów wejdzie na pokład naszego statku, pozostali nie będą strzelać, bo będą się bać, że trafią we własnych ludzi. Rozumiesz? Idź już. Życzę ci powodzenia, chłopcze.

Obi-Wan skinął głową. Oui-Gon widział wahanie w jego oczach. Nie był pewny, czy chłopiec da radę uruchomić statek i odprowadzić go w bezpieczne miejsce. Nie był też pewny własnych sił, kiedy przyjdzie mu samotnie stawić czoło bandzie piratów.

Obi-Wan raz jeszcze skinął głową.

- Nie zawiodę - obiecał.

Rycerz obserwował go, jak biegnie na mostek z nieodłącznym Si Treembą u boku. Wydawał się taki młody... Przez ułamek sekundy rozważał, czy nie pobiec za nimi, a walkę z piratami zostawić Whipidom i Arconianom. Ale górnicy nie daliby sobie rady z Togorianami. Chcąc nie chcąc, musiał tym razem zaufać chłopcu.

Do jego uszu dobiegł daleki odgłos blasterów. Oznaczało to, że piraci już są na pokładzie Monumentu. Podczas gdy Arconianie uchylili się przed walką, kryjąc się w swoich kabinach, górnicy Korporacji Pozaplanetarnej rzucili się do bitwy.

Było oczywiste, że piraci wysłali na pokład więcej niż jeden oddział. Oui-Gon zdecydował zostawić ludzi Korporacji, by bronili się sami. Pognął bocznym korytarzem w stronę doków. Clat'Ha pobiegła za nim. Za pierwszym zakrętem zagroził mu drogę olbrzymi Togorianin. W ciemnej sierści porastającej całą twarz jego zielone oczy żarzyły się jak węgle. Wyciągnął wielkie pazury w kierunku Qui-Gona.

Oui-Gon był Mistrzem Jedi. Chroniła go Moc. Zanurkował pod wzniesioną do ciosu ręką pirata, uprzedzając jego ruch. Błyskawicznie włączył świetlny miecz i zaatakował z boku. Czerwony promień przeciął nogi pirata tuż pod kolanami. Togorianin padł, rycząc z bólu.

Tymczasem nadbiegali jego kompani. Clat'Ha w panice chwyciła swój blaster i otworzyła ogień. Jeden z piratów zawył dziko. Ogromny kiel wypadł mu z paszczy wprost na podłogę. Krew chlusnęła strumieniem. Pozostali odpowiedzieli ogniem. Oui-Gon uniknął zręcznie dwóch wystrzałów, po czym użył swego miecza, by uniknąć trzech następnych.

Clat'Ha upadła, krzycząc z wściekłości. Była dzielną wojowniczką, ale musiała stawić czoło dwudziestu piratom. Oui-Gon poprzysiągł sobie bronić dziewczyny do ostatniej kropli krwi.

Drzwi prowadzące na mostek były zamknięte na głucho i gorące, jakby wewnątrz za nimi szalał pożar. Obi-Wan odczuł ten żar na własnej skórze, kiedy z rozpędu próbował je otworzyć. Nie zwracając jednak uwagi na

ból, wciskał palce pod framugę, aby powstała choć najmniejsza szczelina. Kiedy ciśnienie powietrza po obu stronach drzwi się wyrówna, łatwiej będzie pociągnąć je i otworzyć.

- To na nic - pokręcił głową Si Treemba. - Drzwi są rozpalone. Wygląda na to, że mostek już płonie.

Obi-Wan odwrócił się nagle. Któryś z togoriańskich pocisków musiał trafić prosto w to pomieszczenie. Gdyby jednak był to ogień z jakiegoś ciężkiego miotacza albo torpeda protonowa, nie skończyłoby się na zwykłym pożarze. Być może został uszkodzony kadłub statku. A wtedy...

Lepiej nie otwierać tych drzwi. Za nimi może być pożar albo coś znacznie gorszego. Otwarta dziura, przez którą ucieka powietrze...

A jednak Obi-Wan pamiętał spojrzenie Qui-Gona w chwili, gdy Jedi prosił go o pomoc. Nie mógł go zawieść tym razem!

Wielkim wysiłkiem woli opanował się, by użyć Mocy. Jeżeli wyczuje mechanizm zamka, nie będzie trzeba wiele fizycznej siły, by go zmusić do posłuszeństwa.

Ale co potem? Jeśli otworzy drzwi, może zostać wessany w przestrzeń albo trujący dym wypełni całe pomieszczenie lub też ogień rozprzestrzeni się błyskawicznie po statku i wszyscy zginą w płomieniach...

A jednak nie miał wyboru, I nie mógł też zbyt długo zwlekać. Skupił całą uwagę na mechanizmie i w chwilę potem drzwi uchyliły się leciutko.

Natychmiast odrzucił go straszny podmuch. Powietrze

uciekało na zewnątrz. Stracił oddech. Ostatkiem sił chwycił się framugi, inaczej zostałyby wypchnięty w próżnię kosmosu. Nic więcej nie był w stanie zrobić. Si Treemba kurczowo trzymał się krawędzi pulpitu sterowniczego.

Było tak, jak przypuszczał: mostek został zaatakowany z ciężkiej broni. Nieco powyżej luku widokowego widniała niewielka okrągła dziura, przez którą uciekało powietrze.

- Muszę to czymś zatkać! - krzyknął Obi-Wan do Si Treemby.

Zanim jednak zdołał się ruszyć, przyjaciel podjął rozpaczliwą wędrowkę przez mostek. Od pulpitu do pulpitu, chwytając się po drodze wszystkiego, co mogło dać choćby chwilowe oparcie, z uporem zmierzał w stronę dziury. Obi-Wan nie mógł ani go powstrzymać, ani w żaden sposób pomóc. Gdyby na mgnienie oka puścił się framugi, byłoby po nim.

Si Treemba sięgnął po kompas sferyczny - mały okrągły przedmiot, który w sam raz nadawał się do zatkania otworu. Urządzenie nie było niezbędne na statku. Trzymano je na wypadek zniszczenia lub awarii głównego komputera. Walcząc z przeraźliwym wichrem, Arconianin dotarł na miejsce i umieścił kompas w otworze. Próżnia natychmiast zassała gładką powierzchnię urządzenia.

Wiatr ustał.

- Dobra robota! - krzyknął Obi-Wan, biegnąc w stronę konsoli pilota.

Kapitan i jego zastępca siedzieli przypięci pasami do swoich foteli. Zapadli w śpiączkę z braku powietrza. Jesz-

cze chwila i udusiliby się. Żaden z nich nie odzyskał przytomności. W pokoju było gorąco. Ogień pirackich miotaczy przeszedł przez cały terminal nawigacyjny. Większość metalowych części uległa stopieniu. Jednak ze względu na brak powietrza pożar się nie rozprzestrzenił.

Obi-Wan położył nieprzytomnego kapitana na podłodze. Przyjrzał się panelowi sterowania. Było tam mnóstwo przycisków i światełek, ale nie miał pojęcia, do czego służą. Przez moment stał oszołomiony, nie wiedząc, co robić.

Wyjrzał przez luk widokowy.

Monument był otoczony przez statki Togorian. Ciężki krążownik przerobiony na statek wojenny, zbliżał się niebezpiecznie i można było się obawiać, że staranuje ich samą swoją masą.

Czerwone światełko na konsoli mrugnęło jakby porozumiewawczo. Obi-Wan uświadomił sobie, że protonowe torpedy statku, standardowe uzbrojenie statków podróżujących przez niebezpieczne sektory galaktyki - są gotowe do odpalenia. Komputer celowniczy był wprawdzie uszkodzony, ale tu, na mostku, Obi-Wan miał do dyspozycji całą broń, jaka znajdowała się na pokładzie, a cel widać było gołym okiem.

Serce waliło mu jak młotem. Był przerażony i miał tylko nadzieję, że Oui-Gon nie pomylił się, licząc na to, że piraci nie będą strzelać, kiedy ich ludzie znajdą się na pokładzie Monumentu.

- Co teraz zrobisz, Obi-Wanie? - zapytał zaciekawiony Si Treemba.

- Wyślę Togorianom wiadomość, że jeszcze żyjemy! - odrzekł chłopak, odpalając protonowe torpedy.

Nagle ogień miotacza rozświetlił zadymiony korytarz, oślepiając zupełnie Qui-Gona. Rycerz zdążył jednak uskoczyć i uniknąć ognia.

Ciała martwych Togorian zaścielały podłogę, a żywi przeskakiwali nad nimi w dzikim pędzie. Ich wrzask odbijał się od ścian zwielokrotnionym echem.

Oui-Gon znalazł chwilowe schronienie za stosem trupów. Marzył o odsieczu. Górnicy Korporacji Pozaplanetarnej walczyli jednak w innej części statku.

- A gdzie twoi Arconianie? - szepnął cicho do Clat'Hy.
- Nie pomogą nam?
- Oni nigdy nie walczą - odrzekła równie bezgłośnie.
- Prawdopodobnie siedzą teraz w swoich kabinach i czekają, aż wszystko się skończy.

Co z ludźmi Jemby? Nie mogłabyś poprosić ich o pomoc?

Nie przyjdą - potrząsnęła głową. - Obawiam się, że zostaliśmy sami, Qui-Gonie.

Przez korytarz przedzierał się w ich stronę, rozgarniając dym, herszt piratów. Był ogromny, niemal dwukrotnie większy od człowieka. Jego czarna zbroja, wyszczerbiona i pocięta w wielu miejscach, zdradzała ślady licznych walk. Togorianin nosił na szyi łańcuch z ludzką czaszką. Jego sierść była czarna jak noc, a w zielonych oczkach czaiło się zło.

W jednej ręce miał wielki wibrotopór, w drugiej - tarczę



siłową. Jego spiczaste uszy wysuwały się do przodu jak dwie echosondy. Wyglądało to tak, jakby Togorianin ciągle musiał je gonić.

- Spotkałeś własną śmierć, Jedi! - krzyknął złowieszczo. - Polowałem już nieraz na takich jak ty. Dziś jeszcze będę obgryzał twoje kości!

Oui-Gon zauważył w tej chwili, że piraci, którzy podążali za swoim ciemnym hersztem, zaczynają się wycofywać. Po chwili zrozumiał jednak, że najprawdopodobniej próbowali go okrążyć.

Clat'Ha rzuciła się naprzód i dała ognia z blastera. Pirat bez trudu osłonił się tarczą siłową i podniósł swój śmiercionośny wibrotopór. Nawet lekkie dotknięcie tej broni skracało człowieka o głowę. Oui-Gon jednym płynnym ruchem wznosił w górę świetlny miecz i zasłaniając sobą Clat'Hę, stanął naprzeciwko Togorianina.

- Nie wątpię, że zabiłeś już wielu ludzi - powiedział cicho - ale nie dostaniesz dzisiaj nawet najmniejszej kosteczki.

Zaatakował. Pirat krzyknął i uruchomił swój wibrotopór.

Oślepiający błysk rozświetlił przestrzeń w chwili, gdy protonowe torpedy uderzyły w statek Togorian. Obi-Wan osłonił oczy przed porażającym światłem. Si Treemba wydał głośny okrzyk. Połowa pirackiego statku rozpadła się na kawałki. Drugi pocisk, wystrzelony tuż po tamtym, trafił prosto w skład amunicji. Odłamki metalu waliły jak grad w osłonę Monumentu. Ale większe kawałki uderzyły w drugi statek Togorian.

Obi-Wan nie czekał, aż tamci się pozbierają. Szybko nacisnął przycisk uruchamiający kolejne torpedy. Konsola nawigacyjna nie działała, musiał więc przejść na ręczne sterowanie. Mocno pociągnął dźwignię napędu. Rozległ się niepokojący odgłos rozdieranego metalu. Czyżby właśnie zniszczył urządzenie? Szybko zerknął na monitory i odkrył źródło tego dźwięku: dwa togoriańskie krążowniki utknęły w przedziałach dokowych. W chwili gdy Monument ożył i oderwał się od pirackich statków, uszczelnienia puściły. Całe powietrze z przedziałów dokowych uciekło w przestrzeń.

Oui-Gon właśnie w tej chwili natknął się na piracki oddział. Obi-Wan zacisnął zęby, mając gorącą nadzieję, że na togoriańskich krążownikach nie było w tym momencie nikogo prócz samych piratów. Z tyłu za nimi piracki okręt wojenny bluznął ogniem.

Oui-Gon czuł, jak ugina się podłoga pod nogami Togorianina. Był dwa razy większy od człowieka, a ważył pewnie ze cztery razy tyle.

Nawet w normalnych okolicznościach Jedi nie mógłby zrobić nic więcej, jak tylko starać się podciąć nogi kolosowi, zarazem unikając jego ciosów.

Togorianin w ostatniej chwili zdążył uruchomić swój wibrotopór. Ostrze wbiło się głęboko w prawe ramię Oui-Gona, powalając go na podłogę.

Rycerz dyszał z bólu. Straszliwa rana paliła go żywym ogniem. Próbował podnieść rękę, ale nie był w stanie. Zza pleców pirata dobiegł go zgrzyt metalu. Uszczelnienia

w ładowni puściły. Zerwał się gwałtowny wiatr i powietrze zaczęło uciekać ze statku. Oui-Gon widział krople swojej własnej krwi, unoszone prądem powietrza.

Wichura porywała nawet ciężkie przedmioty - miotacze i hełmy zabitych Togorian. Cały ten złom zaczął teraz bombardować ogromnego herszta piratów, który osłaniał się tarczą siłową, jednocześnie tnąc na oślep swoim vibro-axem.

Oui-Gon poddał się prądowi powietrza i pozwolił przesunąć się po podłodze, bliżej herszta piratów.

Jeśli zginie, pociągnie to monstrum za sobą.

Ogień ciężkich miotaczy przeszył kadłub Monumentu. Togorianie celowali w mostek, lecz nagły manewr wielkiego statku pokrzyżował im szyki. Uderzenie trafiło grubo poniżej celu.

Obi-Wan starał się nie myśleć o tym, kto mógł zginąć w przedziałach dokowych. Miał nadzieję, że byli tam tylko piraci. Raz jeszcze pociągnął dźwignię.

Następna salwa z pirackiego statku poszła w przestrzeń. Obi-Wanowi dało to czas na przygotowanie kolejnej porcji protonowych torped. Strzał był celny. Torpedy wbiły się prosto w ziejącą ogniem gardziel okrętu wojennego.

Kiedy próżnia zaczęła go wsysać na dobre, Oui-Gon przełożył swój świetlny miecz do lewej ręki. Mierzył w stopy Togorianina. Pirat jednak uchwycił się poręczy i wyskoczył wysoko w górę, unikając w ten sposób ciosu.

Wylądował precyzyjnie. Jego ciężkie buciory przygniotły lewe ramię Qui-Gona.

Zaciskając zęby z bólu, Jedi próbował podnieść miecz, ale Togorianin przygwoździł go do ziemi. Oui-Gon wił się jak wąż, próbując odzyskać swobodę ruchów, ale nie miał już szans. Z przygniecioną lewą ręką a prawą zranioną vibro-axem doprawdy niewiele miał już do powiedzenia w tej walce.

Herszt piratów wydał dziki okrzyk triumfu, a wicher zdawał się mu wtórować. Z siłą tornada powietrze uciekało w próżnię kosmosu. Oui-Gon z wielkim trudem łapał oddech.

Nagle głowa Togorianina po prostu zniknęła. Jego wielkie ciało wicher uniósł w przestrzeń kosmiczną.

Clat'Ha, rozpląszczona na podłodze, jedną ręką chwyciła się klamki jakichś drzwi, w drugiej ścisnęła ciężki blaster.

W ferworze walki pirat całkiem zapomniał o kobiecie.

Nieco dalej w korytarzu znajdowały się wielkie drzwi, które powinny zamykać się automatycznie przy każdej zmianie ciśnienia powietrza. Ale wśród wszystkich zniszczeń na statku byłoby dziwne, gdyby ten jeden mechanizm pozostał sprawny.

Oui-Gon bardzo krwawił. Coraz ciężiej oddychał. Czuł, że słabnie. Ostatnim wysiłkiem woli zdołał jednak przywołać Moc. Przeczłogał się przez rumowisko, do-sięgnął przycisku i drzwi powoli zaczęły się zamykać.

Wiatr ustał.

Zaległa śmiertelna cisza.

W tej ciszy Oui-Gon słyszał tylko bicie własnego serca i spazmatyczny, urywany oddech Clat'Hy, która łąpczywie chwyciła powietrze.

Wojenny statek Togorian eksplodował w porażającym błysku światła.

Si Treemba siedział przy konsoli łączności i wysyłał sygnały alarmowe. Mogły wprawdzie minąć dni, zanim jakiś statek Republiki odpowie, ale była też szansa, że pomoc nadejdzie w ciągu kilku sekund. Nie sposób zgadnąć, kto podróżuje obok nich po galaktycznych szlakach.

Nagle jeden z togoriańskich statków w martwym dryfie zaczął trzeć o burtę Monumentu. Dwa okręty wojenne piratów zostały zniszczone. Krążownik i druga jednostka flagowa uległy zmiżdżeniu podczas manewru Monumentu, a ich załogi wyleciały w próżnię.

Ostatni z pirackich statków umknął w hiperprzestrzeń. Togorianie chyba nigdy się nie domyśla, że zostali pokonani przez dwunastoletniego chłopca.

Obi-Wan ostrożnie prowadził Monument pośród mrużących gwiazd. Wszędzie na statku wyły syreny alarmowe. Monitory pokazywały, że wyciek powietrza nastąpił w wielu miejscach naraz.

-Ten statek chyba zaraz się rozpadnie na części - mruknął Obi-Wan.

Si Treemba z troską kiwnął głową.

Musimy lądować, Obi-Wanie.

Gdzie? - zapytał chłopak, widząc wokół siebie tylko pustą przestrzeń.

Si Treemba rąbnął pięścią w pokrywę komputera nawigacyjnego.

- Nie działa - powiedział ze złością.

-Wiem - odrzekł Obi-Wan. - Właśnie dlatego musiałem przejść na ręczne sterowanie. Gdzie jest załoga? Czemu nikt tu nie przychodzi?

- Pewnie liżą rany albo jeszcze walczą ze sobą nawzajem. - Si Treemba zerknął na ekran widokowy. - Zaczekaj! Tam!

Obi-Wan też zauważył planetę pod nimi. Błękitny marmur oceanu, żyłkowany białymi pasmami chmur.

Jak się dowiemy, czy tutejsze powietrze nadaje się do oddychania? - zapytał Obi-Wan. - To mógł być jakiś wrogi świat z trującą atmosferą.

Zapewniam cię, że lepsze to niż oddychać próżnią - stwierdził Si Treemba.

Ich oczy spotkały się w chwili, gdy rozległ się kolejny sygnał alarmowy, świadczący o tym, że w kadłubie statku utworzyła się jeszcze jedna szczelina.

- Myślimy, że chyba nie mamy wyboru - powiedział łagodnie Si Treemba.

Grelb ze swymi ludźmi penetrował arcońską część statku. Górnicy dzielnie walczyli z piratami, ale wielu z nich poległo. Huttowie mieli nadzieję, że Arconianie też nie uszli z życiem. Liczyli na łatwą zdobycz; martwe ciała nie protestują, gdy się je okrada z dóbr.

Ze zdumieniem odkryli, że drzwi do kabin są pozamykane. Żaden Arconianin nie wychylił nosa na korytarz pod-

**czas bitwy! Walczył tylko ich pieszczołek Jedi.**

**Grelb rzucił okiem za załom korytarza i zobaczył go, a razem z nim tę okropną Clat'Hę. Pomagała rannemu Oui-Gonowi dźwignąć się z podłogi. Jedi miał głęboką ranę na prawym ramieniu, lewe było boleśnie skaleczone. Hutt uśmiechnął się i szybko skrył za rogiem, zanim tamci zdążyli go dostrzec. Szepnął do stojących tuż za nim Whipidów:**

**- Idźcie i powiedzcie Jemie, że Arconianie to banda śmierdzących tchórzy, a ich cudowny Jedi wygląda na ledwo żywego. Nadszedł czas, by uderzyć!**

**Monument płynął powoli nad wodnym światem, światło dnia ustąpiło miejsca ciemności, rozświetlonej światłem pięciu księżyców, które wisiały nad planetą jak wielobarwne kamienie. Poniżej, na powierzchni oceanu, jakieś ogromne stwory igrały z falami. Wydawały się srebrzyste w świetle księżyców; przypominały długie pociski obdarzone potężnymi skrzydłami. Wyglądały jak jakieś dziwne latające ryby, które w trakcie ewolucji rozwinęły soje skrzydła do nieprawdopodobnych rozmiarów. W locie rozpościerały je na całą szerokość, śpiąc na wietrze jak wygodnym gnieździe. Niektóre patrzyły w górę, przyglądając się nowemu, nieznanemu stworowi, który nagle pojawił się na niebie.**

**Obi-Wan, wczepiony kurczowo w dźwignie ręcznego sterowania, rozglądał się za kawałkiem lądu, ale jak okiem sięgnąć, nie było w dole nic prócz oceanu. Statek**

trzeszczał, jakby za chwilę miał się rozlecieć na kawałki. Chłopca ogarniała rozpacz.

I wtedy nagle dojrzał na horyzoncie małą skalistą wysepkę, dzielnie opierającą się falom atakującym jej wysokie brzegi. Nakierował statek na tę wysepkę. Pociągnął dźwignię, stękając z wysiłku, jakby próbował siłą własnych rąk spowolnić opadanie statku.



## ROZDZIAŁ 14

Dziesiątki górników zostało zabitych lub rannych podczas walki, więc szpital był przepełniony. Ale wśród tych, którzy wymagali opieki, niewielu było Arconian. Na pierwszy sygnał alarmu pochowali się w swoich kabinach. Najwięcej obrażeń odniosła załoga statku i ludzie Jemby.

Rany Qui-Gona mogły zostać opatrzone w pierwszej kolejności, ale rycerz wolał poczekać, aż robot medyczny dotrze do jego pokoju. Clat'Ha nie opuszczała go, choć usilnie ją nakłaniał, by trochę odpoczęła. Należało jej się trochę snu po tym strasznym dniu.

- Nie zasnę, póki nie będę mieć pewności, że z tobą wszystko w porządku - powiedziała stanowczo.

Statek wylądował parę metrów od kamienistej plaży. Bezgwiezdna noc wisiała nad wyspą jak ciężka mgła. Atmosfera, według wstępnych pomiarów, wydawała się nadawać do oddychania. Wielu członków załogi opuściło statek, by naprawić sprzęt albo po prostu przejść się po okolicy. Srebrne latające gady, z wyglądu podobne do smoków, szybowały po niebie, najwidoczniej śpiąc na swych ogromnych skrzydłach? Wiele z nich zamieszkiwało

przybrzeżne klify. Na zewnątrz nie było bezpiecznie. Kapitan zakazał oddalać się zbyt od statku. Na wszelki wypadek wydał też zakaz pracy w ciągu dnia, kiedy bestie się zbudzą.

Inżynierowie stwierdzili, że potrzebują dwóch nocy, by przygotować statek do dalszej podróży.

Obi-Wan wszedł do kabiny Oui-Gona w chwili, gdy robot medyczny kończył dezynfekować jego potworną ranę. Piracki vibro-ax przeciął mu ramię i plecy tuż poniżej łopatki. Obi-Wan poczuł, że robi mu się niedobrze na ten widok. Oui-Gon siedział jednak spokojnie, jakby nie czuł bólu.

Masz szczęście, że żyjesz - powiedział robot. - Twoje rany z czasem się zagoją. Czy jesteś pewien, że nie potrzebujesz środka przeciwbólowego?

Nie, dziękuję - odparł stanowczo rycerz. Podniósł wzrok na Clat'Hę. - Czy teraz już możesz iść spać?

Skinęła głową, znużona.

- Odwiedzę cię później - powiedziała, wychodząc z pokoju. Za nią podreptał robot. Oui-Gon i Obi-Wan zostali sami.

Rycerz wyciągnął się wygodnie w fotelu. Chłopak czekał. Oui-Gon mógł zacząć rozmowę lub odprawić go, jak zwykle.

Błękitne oczy rycerza patrzyły na niego przenikliwie.

- Obi-Wanie - zapytał w końcu Jedi - o czym myślałeś, uruchamiając statek?

- O czym myślałem? - zastanowił się chłopak. - Chyba o niczym szczególnym. Po prostu bałem się piratów i chciałem być od nich jak najdalej.

Był zbyt wyczerpany, by zastanawiać się, czy ta odpowiedź przypadnie Oui-Gonowi do gustu. Lepiej było powiedzieć prawdę, bez względu na to, czy Jedi pochwali go za to, czy zgani. Już nie starał mu się przypodobać.

Więc nie myślałeś też o tym, że podczas wyprowadzania Monumentu z doku mogłeś staranować ich statki i zabić w ten sposób setki piratów? - zapytał Oui-Gon obojętym tonem.

Nie miałem czasu o tym myśleć - odrzekł Obi-Wan. - Prowadziła mnie Moc.

Byłeś przestraszony? Zły?

Jedno i drugie - przyznał chłopak. - Ja... naprawdę spaliłem tych piratów. Zabiłem ich, ale nie było we mnie złości. Zrobiłem to tylko po to, by ratować nasz statek.

Oui-Gon nieznacznie kiwnął głową.

- Rozumiem - powiedział krótko. To była odpowiedź, jakiej oczekiwał. Świadczyła o rosnącej dojrzałości Obi-Wana.

A jednak czuł się jakoś dziwnie niezadowolony. Czyżby w głębi ducha liczył, że chłopiec nie zda tego egzaminu? Jedi nie powinien wobec nikogo żywić takich uprzedzeń. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Musiał przyznać, że Obi-Wan bardzo mu pomógł w tej walce. Że odważnie podjął się zadania, które Oui-Gon mu powierzył. Pilotowanie tak wielkiego statku to nie było co. W jego rękach były setki istnień, a on nie stchórzył, nie zawahał się. Nerwy go nie zawiodły. Doprawdy, bardzo dzielnie się sprawił.

Czemu więc Oui-Gon mu nie ufał?

**„Bo nie ufam nikomu. Bo bezwzględnie zaufałem kiedyś Kanatosowi i wynikła z tego tragedia”.**

**Rana do tej pory się nie zabiłiła i pewnie nie zabiłi się nigdy. Oui-Gon wolałby oberwać dziesięć razy mocniej od piratów, niż ciągle od nowa przeżywać tamten ból.**

**Obi-Wan stał przed nim, zakłopotany. Był tak zmęczony, że ledwo trzymał się na nogach. Jak odpowiedział: dobrze czy źle? Nie miał pojęcia. Wyczuwał wewnętrzną szamotaninę Oui-Gona, ale nie rozumiał jej.**

**Razem trudzili się, by uratować statek. Wspólna walka powinna ich zbliżyć do siebie, a tymczasem byli sobie bardziej obcy niż kiedykolwiek.**

**Czy powinien o to zapytać wprost? Być może. Tylko wtedy jest szansa, że Jedi udzieli równej prostej odpowiedzi. Już zbierał się na odwagę, gdy nagle rozległo się głośnie, natarczywe pukanie do drzwi.**

**Do środka wpadł Si Treemba. Nie mógł złapać tchu. Z jego błyszczących oczu wyzierało przerażenie.**

**Co się stało? - zapytał Oui-Gon. Wstał i ostrożnie poruszył ramieniem, chcąc sprawdzić, czy żel gojący trzyma się jak należy.**

**Szybko - wysapał Si Treemba. - Szybko. Jemba ukradł nasz daktylit.**

## ROZDZIAŁ 15

Nie odejdziesz z tym. - Oui-Gon zagroził drogę Jembie. Głos miał całkiem spokojny. Za jego plecami stali w milczeniu Arconianie. Wśród nich Obi-Wan ze swoim mieczem. Jedi był jednak bardzo osłabiony, chwilami здаowało się, że upadnie.

Jemba zakołysał się jak wielki szary robak.

- A jak mi w tym przeszkodzisz, ty słabeuszu? - roześmiał się szyderczo. - Nikt nie powstrzyma Wielkiego Jemby! Twoi Arconianie zlekli się piratów. Siedzieli w swoich kabinach, podczas gdy moi ludzie walczyli i ginęli. Biorę ich do niewoli za tchórzostwo!

Jemba i jego ludzie zajęli wypoczynkowy pokój Arconian. Mur górników - Huttów, Whipidów, ludzi i robotów - stał w milczeniu za swoim przywódcą. Wszyscy byli uzbrojeni i gotowi do walki. Oui-Gon doliczył się ponad trzydziestu miotaczy. Niektórzy nosili broje lub otaczali się polem siłowym. Tak, najwidoczniej ludzie Jemby zdobyli coś więcej niż tylko arcoński daktylit. Zdobyli też większość broni znajdującej się na statku.

Obi-Wan czuł się straszliwie upokorzony. Clat'Ha była

blada z wściekłości. Opuściła rękę, gotowa w każdej chwili sięgnąć po swój blaster. Ale niewiele by to pomogło. Reszta Arconian nie miała broni.

- To, co robisz, nie jest sprawiedliwe! - Qui-Gon raz jeszcze spróbował przemówić Jembie do rozsądku. - Zaspokajasz tylko własną pychę. Niczego w ten sposób nie osiągniesz. Odlóż broń!

Rycerz wzywał Moc, gdyż czuł, że inaczej nie powstrzyma Jemby w jego szaleństwie. Ale był już na to zbyt słaby. Od czterech godzin walczył z bólem, potwornym wysiłkiem woli próbując przyspieszyć gojenie się ran. To go zupełnie wyczerpało.

Jemba powachlował się dłonią, jakby chciał wzmocnić jakąś nikłą falę zapachu w powietrzu.

- Czyżbym czuł sławetną Moc? - zapytał z ironią.  
- Śmiesz mnie te twoje sztuczki, Jedi. Myślałeś, że to zrobi wrażenie na Wielkim Jembie? Zresztą, spójrz na siebie. Parę godzin temu miałeś bliskie spotkanie z wibratorem. Każdy widzi, że teraz nawet dziecko dałoby ci radę. Nie masz żadnych szans, by mnie powstrzymać!

W Obi-Wanie narastała furia. Wysunął się nagle przed Qui-Gona i stanął na wprost Jemby.

- Ale ja mam szansę! - krzyknął, dobywając miecza.

Oczy Jemby zwęziły się z wściekłości. Bandyci nie zamierzali ustępować. Nie zląkną się przecież zwykłego chłopca.

No i co, Jedi? - Jemba spojrzał z pogardą na Qui-Gona.

- Wysyłasz dzieciaka do walki? Próbujesz mnie obrazić? Spojrzał w lewo i w prawo, wznosząc swą ogromną

pięść. Obi-Wan zrozumiał natychmiast, że to znak dla jego ludzi: bądźcie w pogotowiu. Opuszczenie ręki będzie sygnałem do otwarcia ognia. Chłopak wiedział, że w razie czego nie zdoła uniknąć więcej niż kilku miotaczy.

Oui-Gon chwycił go za ramię. - Odlóż miecz - powiedział cicho. - Nie wygrasz w ten sposób. Jeśli zaczniesz się strzelanina, zginie wielu ludzi. Jedi musi znać swoich prawdziwych wrogów.

Te słowa wstrząsnęły Obi-Wanem. Nagle poczuł się bardzo zawstydzony.

Co masz na myśli? - zapytał. Pot strumieniami płynął mu po twarzy. - Kto jest tym prawdziwym wrogiem?

Gniew - odrzekł rycerz. Rzucił spojrzenie na Jembę. - A także strach i pycha. Arconianie przez jakiś czas mogą żyć bez daktylitu. Nie musisz walczyć od razu. Niecierpliwość jest kolejnym wrogiem.

Obi-Wan dostrzegł mądrość zawartą w jego słowach. Zgasił swój miecz i skłonił się przed Jemba, jakby uważał go za przeciwnika godnego szacunku, a potem cofnął się o krok.

- Dobry ruch, mały - powiedział Jemba, i nagle wybuchnął głośnym śmiechem, zwracając się do zbitych w kącie Arconian: - Potrzebuję robotników. Dobrze zapłacę!

Jego słowa wywołały pewien oddźwięk wśród Arconian. Zaczęli szeptać, jakby się naradzali nad jego propozycją.

Ciat'Ha nie panowała już nad sobą.

- Korporacja nigdy dobrze nie płaci! - krzyknęła z furją.

Jemba uderzył się w piersi.

Ich zapłatą będzie jedzenie i daktylit. Dzień życia za dzień pracy. To chyba uczciwe, prawda?

Będziesz im płacić tym samym daktylitem, który im ukradłeś? - Obi-Wan nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jedyne, co można zrobić w takiej sytuacji, to chwycić Hutta za gardło i rozerwać na strzępy. Ale tego właśnie nie można zrobić.

Jemba gromko się roześmiał.

- Jasne, że tak zrobię! Ci, którzy zdecydują się pracować dla mnie, będą żyć. Pozostali umrą. Czy może być lepsza zapłata niż życie?

Arconianie szeptali cicho między sobą. Ku najwyższemu zdumieniu Obi-Wana większość z nich bezzwłocznie przeszła na stronę Jemby. Si Treemba zawahał się, po czym dołączył do reszty.

- Zaczekajcie! - krzyknęła Clat'Ha. - Co robicie? Kilku Arconian odwróciło głowy.

Jesteśmy górnikami - rzekł Si Treemba. - Czy to nie wszystko jedno, dla kogo będziemy pracować?

A wasza wolność? - krzyknął z rozpaczą Obi-Wan. - Jak możecie tak się poddawać?

Si Treemba popatrzył na niego ze smutkiem.

- Jesteś naszym przyjacielem, Obi-Wanie, ale zupełnie nas nie rozumiesz. Wy, ludzie, cenicie wolność na równi z życiem. Dla nas nie jest ona aż tak ważna.

Arconianie całą grupą odwrócili się i ruszyli ku Jembie.



Obi-Wan usiłował pojąć ich sposób myślenia. Wylęgali się w gniazdach, dzielili się wszystkim. Wspólnym wysiłkiem musieli wykopywać głęboko z ziemi korzenie, dostarczające im wody i pożywienia. Żaden z nich nie dokonałby tego samodzielnie. Wzajemna zależność pogłębiała się i wpływała na ich sposób widzenia świata. Mogli pracować choćby dla Jemby. Odkąd istnieje ich wspólnota, jak daleko sięgają pamięcią, wolność nigdy nie była dla nich czymś godnym pożądania.

Jeśli pójdziecie z Jemba - ostrzegła Clat'Ha - wyciśnie z was wszystko, a w zamian nie da nic prócz tego, co i tak do was należy. Jemba urośnie w siłę, a Arconianie osłabną. Czy tego właśnie chcecie?

Nie - przyznał Si Treemba - ale nie chcemy też umierać.

Więc musicie z nim walczyć - powiedziała twardo Clat'Ha. - W obliczu niebezpieczeństwa zazwyczaj budujecie mury i ukrywacie się za nimi. To stara arcońska taktyka. Ale kiedy przyjdzie buldożer i rozwali wasze mury, zaczynacie walczyć. Jemba nie jest w niczym lepszy od buldożera. Chce nas zniszczyć. Brońmy się!

Chwyciła swój blaster. Górnicy w odpowiedzi także podnieśli broń. Obi-Wan patrzył z podziwem na tę niezwykłą kobietę. Było w niej tyle ognia, że mogłby spalić cały statek. Wystarczyłaby iskra.

Tylko że tej walki nie można było wygrać. Oui-Gon miał rację. To nie jest dobry czas ani miejsce. Jembę trzeba powstrzymać, ale nie można tego zrobić w tej chwili.

- Si Treemba! - zawołał nagle Obi-Wan. - Przyjacielu...  
proszę cię, zaczekaj.

Oui-Gon spojrział na niego z szacunkiem. Chłopak jednak nie miał czasu się tym ucieszyć. Cała jego uwaga była skupiona na Si Treembie. Czasami moc przyjaźni odnosi skutek tam, gdzie Moc zawodzi.

Si Treemba odwrócił głowę i popatrzył na niego z wahaniem. Byłoby dla niego aktem ogromnej odwagi odłączyć się od swoich arcońskich towarzyszy. Obi-Wan dobrze o tym wiedział, I wiedział też, że nie może powtórzyć swojej prośby. To byłaby zniewaga dla Arconianina.

Po chwili dłużej jak wieczność Si Treemba nieznacznie kiwnął głową. Odwrócił się i przeszedł z powrotem przez cały pokój, by stanąć koło Clat'Hy i Obi-Wana.

Długi, świszczący dźwięk wypełnił całe pomieszczenie. Arconianie, jeden po drugim, szli w jego ślady.

## ROZDZIAŁ 16

Negocjacje utknęły w martwym punkcie. Nie pozostało nic innego, jak tylko opuścić salę. Obi-Wan stał koło Qui-Gona. Rycerz trzymał się dzielnie podczas całego zajścia, ale pot spływał mu po twarzy i Obi-Wan mógł tylko sobie wyobrazić, ile trudu kosztowało go utrzymanie tak ogromnej koncentracji.

- Odprowadzę cię do kabiny - zaproponował nieśmiało. Rycerz musiał czuć się naprawdę bardzo źle, skoro nawet nie próbował oponować.

Dość długo trwało, zanim wydostali się na korytarz prowadzący do jego pokoju. Qui-Gon chwiał się na nogach, przed oczami tańczyły mu czarne platy. Dobrze, że ktoś był teraz przy nim. Na ostatnim zakręcie stracił równowagę i byłby upadł, gdyby Obi-Wan nie podtrzymał go w porę.

Wszystko dobrze? - zapytał z troską w głosie.

Jeszcze nie, ale będzie. - Ranny uśmiechnął się słabo. - Potrzebuję tylko... skupienia.

Obi-Wan pomógł mu wejść do kabiny i poczekał, aż rycerz usiądzie. Od pewnego czasu w jego głowie dojrzewał

pewien plan. Chyba nie będzie wielkim błędem, jeśli przedstawi go teraz rycerzowi?

- Mistrzu - zaczął niepewnie - mam pewien pomysł. Wejdę jeszcze raz na teren Korporacji Pozaplanetarnej. Znam już rozkład kanałów wentylacyjnych, więc nie zabłądzą. Znajdę Jembę, poczekam, aż będzie sam, i wtedy go dopadnę.

Oui-Gon na moment przytknął oczy. Zdawało się, że propozycja chłopca sprawia mu większy ból niż rana.

- Nie - zawyrokował twardo. - Nie wolno ci tego zrobić.

Jeszcze przed chwilą podziwiał odwagę Obi-Wana i godność, z jaką ten młody chłopak stawiał czoło Jembie. A teraz znowu te lekkomyślne pomysły, młodzieńcza nadgorliwość, która bierze górę nad rozsądkiem.

Oczywiście, Oui-Gon musiał przyznać w duchu, że pomysły Obi-Wana nie były wcale bardziej nierozważne od tych, które sam miewał w jego wieku. Nie mógł zrozumieć, co go tak mocno wyprowadza z równowagi.

Uniósł się nieco w fotelu. Ramię mu zapłonęło, jakby ktoś je przypalał żywym ogniem. Próbował przez cały czas zapanować nad bólem, ale teraz było to ponad jego siły.

Spójrz, jesteś ranny - mówił Obi-Wan. - Wiem, że nie możesz teraz walczyć. Ale ja to zrobię za ciebie! Będę kontrolował swój gniew i zrobię, co trzeba. Gdy Jemba będzie już martwy...

...to nic nie zmieni - przerwał mu Jedi. - Nie rozumiesz tego, Obi-Wanie? Śmierć Jemby nie jest rozwiązaniem. To tylko jeden z wielu Huttów, tak samo złych

i pysznych jak on sam. Albo i bardziej. Na miejsce Jemby przyjdzie następny, być może dużo gorszy. Jedyne co możemy zrobić, to nauczyć tych ludzi...

Ale on jest zły, prawda? - Obi-Wan przerwał mu niecierpliwie.

Złe jest to, co robi - odparł Jedi.

Nigdy jeszcze nie widziałem nikogo równie złego! - krzyknął chłopiec.

Smutny uśmiech przemknął przez twarz Qui-Gona.

- A dużo już widziałeś w życiu, młodzieńcze?

Obi-Wan umilkł, zawstydzony. Tak, musi się jeszcze wiele nauczyć. Wszystko w nim krzyczało, że Jemba jest po prostu zły, że napawa się cierpieniem niewinnych ofiar. Jeśli ktokolwiek zasługiwał na gorszy los niż ten, który stał się udziałem Arconian, to tym kimś był tylko Jemba.

Chciał jednak wysłuchać Qui-Gon Jinnę do końca.

Widziałem dużo gorsze rzeczy - ciągnął rycerz. - Jeśli chcesz jednak zabić kogoś w gniewie, musisz wiedzieć, że takie myśli przychodzą z ciemności.

Jak więc go zmusimy, by oddał daktylit Arconianom?

Nie ma na to sposobu. Nie zmusisz nikogo, by zachowywał się przyzwoicie. To musi wypływać z wnętrza, inaczej nie ma żadnej wartości. Na razie więc lepiej poczekać. Może Jemba zmieni swoje plany. A może jego ciemna gwiazda sama przywiedzie go do zguby. W każdym razie zabicie go nie jest dla nas żadnym wyjściem.

-Ale... przecież już wcześniej nieraz zabijałeś -wtrącił z wahaniem Obi-Wan.

- Tak - przyznał Qui-Gon - jeśli nie było innego wyj-

ścia. Ale gdy zabijasz, wygrywasz tylko bitwę. To niewielkie zwycięstwo. Jest też większa bitwa... bitwa serca. Zdarza się, że rozsądkiem, cierpliwością i dobrym przykładem zdołasz przemienić wroga w przyjaciela.

Obi-Wan musiał się z tym zgodzić. Zauważył zresztą, że mimo bólu i osłabienia Qui-Gon poświęca wiele czasu, by mu dokładnie wytłumaczyć przyczyny swojej decyzji. Jeszcze wczoraj zapewne uciąłby dyskusję jednym krótkim „nie”. Coś się widocznie zmieniło między nimi.

- Sprawdzasz mnie, prawda? - zapytał Obi-Wan ze skrywaną nadzieją. - Zmieniłeś zdanie? Weźmiesz mnie na swego Padawana?

Qui-Gon potrząsnął głową.

- Nie - odrzekł stanowczo. - Ja cię nie sprawdzam. Życie cię sprawdza. Każdy dzień przynosi nową szansę triumfu albo możliwość klęski. Jeżeli pomyślnie przejdiesz próbę, nie staniesz się Jedi. Staniesz się człowiekiem.

Obi-Wan cofnął się, jakby nagle dostał w twarz. W chaosie sprzecznych uczuć starał się zajrzeć w głąb własnego serca. Odkrył, że przez długi czas oszukiwał sam siebie. Nakazywał sobie pokorę, przysięgał przyjmować bez szemrania wszystkie decyzje Qui-Gona, wmawiał sobie, że jedyną rzeczą, na jakiej mu zależy, jest jego szacunek. Ale w głębi duszy ciągle wierzył, że jeśli dobrze sprawi się w akcji przeciwko piratom, Jedi zmieni postanowienie.

Teraz poznał prawdę.

Qui-Gon dostrzegł zmianę, jaka zaszła w twarzy Obi-Wana. Chłopiec nareszcie zrozumiał, że wszystko jest

przesądzone. To mu powinno ulżyć, I rzeczywiście, gniew go opuścił. Lecz razem z gniewem odeszła nadzieja.

Rycerz patrzył, jak Obi-Wan odwraca się i kryje twarz w dłoniach. Czyżby płakał? Aż tak mocno czuł się zraniony? Ale gdy chłopak znów spojrzał mu w oczy, po jego policzkach spływał tylko pot. Oczy miał suche, bez śladu łez.

W końcu w życiu zdarzają się gorsze klęski.

Oui-Gon poczuł jednak wyrzuty sumienia. Po tych wszystkich wzniosłych opowieściach o bitwach serca złamał właśnie serce chłopca, który pragnął tylko zostać jego sprzymierzeńcem.

## ROZDZIAŁ 17

Obi-Wan wyszedł z kabiny Qui-Gona oszołomiony. Potrzebował odpoczynku, ale nie mógł sobie znaleźć miejsca. Pobył chwilę u siebie, potem w pokoju wypoczynkowym. W końcu zaczął się błąkać bez celu po korytarzach. Usiadł wreszcie przy luku widokowym koło maszynowni i zapatrzył się w smutny pejzaż jałowej, bezimiennej planety.

Pięć księżyców wisiało nad milczącym oceanem jak grono dojrzałych owoców. Pterosmoki krążyły wysoko w powietrzu, przysypiając na swych błoniastych skrzydłach. Ta wysepka była zwykłym kawałkiem skały, podmywanym przez fale. W głębi lądu piętrzyły się ciemne stożki wulkanów, na których siedziały całe stada smoków.

Drzwi otwały się z cichym świstem. W chwilę potem Si Treemba stał już przy jego boku.

Szukaliśmy cię wszędzie - powiedział cicho.

Mam wiele do przemyślenia - odparł Obi-Wan. Ucieszył go widok przyjaciela. Si Treemba okazał mu wiele zaufania podczas spotkania z Jembą. To jeszcze bardziej scementowało ich przyjaźń. Obaj byli tego świadomi



Czy wolno nam zapytać, o czym myślisz? - rzekł Si Treemba z wahaniem.

Myślę o latach spędzonych w Świątyni. Wiesz, Si, tam wcale nie było łatwo... Od świtu do nocy tylko nauka i trening. Oczekiwano od nas, że damy z siebie wszystko. Ale szanowałem swoich nauczycieli. Wierzyłem, że dzięki ich wskazówkom uda mi się nie tylko przeżyć, ale i czegoś dokonać w życiu. - Obi-Wan wziął głęboki oddech. - Teraz dopiero widzę, że nie mam pojęcia, jakie jeszcze zło może się czaić w tym ogromnym kosmosie. Nie zetknąłem się wcześniej z prawdziwą pychą, taką jaką ma w sobie Jemba i piraci. To mnie przeraża.

-I słusznie - odparł Si Treemba. - Bo to jest przerażające.

- Zastanawiam się... czy sam nie jestem równie pyszny jak oni?

Si Treemba spojrział na przyjaciela ze zdumieniem. Na twarzy Obi-Wana malowała się straszliwa udręka. - Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Przez całe życie pragnąłem zostać Rycerzem Jedi. Chciałem zdobyć sławę... i zacząłem nie lubić tych, którzy próbują mi w tym przeszkodzić.

Jedi daje bardzo wiele ludziom - odrzekł z namysłem Si Treemba. - Broni słabszych, walczy w imię wspólnego dobra. Uważamy, że nie ma nic złego w pragnieniu, by stać się kimś takim. Nie, to nie jest pycha, Obi-Wanie.

Chłopak kiwnął głową na znak, że rozumie, ale nadal siedział zapatrzony w mrok. Ogarnęła go dojmująca tęsknota za domem, za Świątynią, gdzie wszystko było jasne,

a każde działanie miało sens. Teraz czuł się kompletnie zagubiony.

Za parę godzin zacznie świtać - powiedział cicho. - Zrobiłeś już dla mnie bardzo dużo, Si Treemba, ale czy pomożesz mi jeszcze raz? Ostatni raz.

Jasne - odrzekł Si Treemba bez wahania. - Co mam robić?

Pomóż mi przemoc gniew - odrzekł Obi-Wan. Dopiero teraz spostrzegł, że przez cały czas jego dłonie zaciskały się w pięści. Rozprostował je z wysiłkiem.

Nienawidzę Jemby. Mam ochotę go zabić, gdy widzę, jak wykorzystuje ludzi do własnych celów. Nie mam pojęcia, jak zwalczyć w sobie ten gniew. Oui-Gon miał rację - uśmiechnął się smutno. - Kiedy próbuję powstrzymać Jembę, robię to tylko dla rozładowania swojej wściekłości.

Wydajesz się spokojny - zauważył Si Treemba.

Coś się ze mną dzieje - odrzekł Obi-Wan. - Zaczynam coś rozumieć. Oui-Gon nie weźmie mnie nigdy na swego Padawana. On po prostu czuje, że nie jestem tego wart, i pewnie ma rację. Może wcale bym się nie sprawdził w tej roli.

I nie masz do niego żalu? - zapytał ze zdumieniem Arconianin.

Nie - powiedział spokojnie Obi-Wan. - Dziwnie się czuję, Si. Jakby zdjęto ze mnie jakiś ciężar. Pewnie zostanę dobrym rolnikiem, a być dobrym... dobrym człowiekiem, to ważniejsze niż zostać rycerzem.

A co z Jembą?

Yoda powiedział kiedyś, że w galaktyce żyją tryliony

ludzi, a wśród nich jest zaledwie parę tysięcy Rycerzy Jedi. Nie naprawimy całego zła, mówił. Wszystkie istoty muszą się nauczyć bronić słusznej sprawy, zamiast ciągle liczyć na rycerzy. Być może Arconianie właśnie teraz biorą tę lekcję. Nie wiem, co będzie jutro, ale dziś uważam, że nie należy walczyć.

Obi-Wan spojrzał na przyjaciela.

- Prosiłem cię, byś opuścił swoich pobratymców... To tak, jakbym ci przyrzekł konkretną pomoc. Nie wycofuję się z tej obietnicy. Nie chcę widzieć, jak chorujesz z braku daktylitu. Będę przy tobie, Si Treemba. Na pewno znajdziemy jakieś wyjście.

## ROZDZIAŁ 18

Techniki uzdrawiania, znane Jedi, nakazywały Qui-Gonowi wkładać całą energię w zwalczanie infekcji i gojenie porozrywanych mięśni. Od czasu do czasu jednak jego myśli same wracały do niedawnej rozmowy z Obi-Wanem, a przed oczami miał widok rozczarowanej twarzy.

Skąd te uporczywe wyrzuty sumienia? Przecież nieraz już pozbawiał złudzeń różnych młokosów. Po prostu mówił im spokojnie, że brak im tego nieuchwytnego czegoś, co pozwala stać się Rycerzem Jedi. Miał poczucie, że w samą porę ochronił ich przed poważnymi kłopotami. Czy tak rzeczywiście było?

Usiadł na łóżku, całkowicie rześki. Wyrzuty sumienia nie pozwalały mu spać.

Na statku panowała cisza. Wszyscy byli wyczerpani walką z piratami. Qui-Gon nie słyszał niczego prócz odgłosu fal rozbijających się o brzeg i cichych pomruków zwierząt, które kręciły się koło statku. Miał nadzieję, że te monotonne dźwięki uspią go wreszcie.

Spał jednak niespokojnie; nie wiedział, czy z powodu bólu czy wyrzutów sumienia. Na wpół obudzony z

dręczących koszmarów, wstał w końcu i poszedł po ręcznik, by wytrzeć spoconą twarz. Napił się wody i z rozkoszą oparł rozpalone czoło o zimne obramowanie małego wizjera. Skalne klify w oddali wydawały się drzeć i wybrować. Czyżby gorączka się wzmagala? Oczy przesłaniała jakaś dziwna żółta mgła.

Wstał o wiele za wcześnie. Najlepiej byłoby znowu się położyć. Tak też zrobił. Tym razem zasnął głębokim, mocnym snem. Nic mu się już nie śniło.

Kiedy obudził się wczesnym rankiem, jego prawe ramię było jakby w troszkę lepszym stanie. Robot przyszedł zmienić mu opatrunki. Po jego wizycie Qui-Gon stwierdził, że wraca mu apetyt. To był dobry znak.

Idąc do kuchni, usłyszał jakiś hałas na statku. To Arconianie biegli w stronę wyjścia, taszcząc ze sobą swoje bagaże.

Zatrzymał jednego z nich i zapytał, co się dzieje.

- Idzie przytyw – odrzekł Arconianin. – Może zalać statek. Inżynierowie są na dole, ale zdążymy ich ściągnąć na czas. Musimy być gotowi do ewakuacji.

- Do ewakuacji? – Qui-Gon był kompletnie zaskoczony. – A dokąd mamy się ewakuować?

Na zewnątrz roiło się od pterosmoków. Nie wyglądało to zbyt bezpiecznie.

- Na wzgórze, w głąb wyspy. Załoga statku znalazła kilka jaskiń. Musimy tam dotrzeć, zanim słońce zajdzie i te bestie się pobudzą. – Arconianin szybko dołączył do swoich, taszcząc ciężkie torby i pudła.

„Z deszczu pod rynnę” - pomyślał Qui-Gon.

Napadnięci przez piratów, rzućeni na obcą ziemię w towarzystwie Jemby, który wszystkich trzyma na muszce... A teraz jeszcze muszą opuścić statek i kryć się po jaskiniach, mając ograniczone zapasy żywności.

Czuł narastające niebezpieczeństwo. Albo piraci trafią tu za nimi i dokończą to, co zaczęli, albo wyniszczy ich głód, albo powybijają się nawzajem. Albo po prostu fala przyływu zaleje całą wyspę.

Arconianie wyglądali na słabych i zmęczonych. Nie dostali wczoraj daktylitu i zapewne dziś także go nie dostaną. Oui-Gon zastanawiał się, jak długo zdołają wytrzymać bez odżywki.

Ruszył w stronę kabiny Clat'Hy. Drzwi były otwarte. Dziewczyna pakowała właśnie swoje bagaże.

Podniosła wzrok, gdy wszedł do pokoju.

- Lepiej się pospiesz - powiedziała. - Przytyw szybko się zbliża i niebawem wzejdzie słońce. Musimy czym prędzej opuścić statek. - Uśmiechnęła się, odrzucając z twarzy niesforny kosmyk włosów. Jej zielone oczy błysnęły szelmowsko. - Jemba jest wściekły. Pewnie się boi, że nie zmieści się w jaskini.

- I dlatego się wścieka? - zdziwił się Oui-Gon. Clat'Ha wzruszyła ramionami.

- Bo to jest coś, co wymyka mu się spod kontroli. Tak sądzę. Z początku myślał, że z przytywem to kłamstwo. Potem dotarło do niego, że możemy się potopić, jeśli tu zostaniemy. Warto było go widzieć, gdy musiał przyznać rację ludziom z załogi!

Oui-Gon zmarszczył brwi.

- Kiedy Arconianie muszą dostać daktylit?

Wyraz ożywienia natychmiast zniknął z jej oczu. Jego miejsce zajął głęboki smutek.

- Niektórzy już zaczynają słabnąć - powiedziała cicho. - Jeśli do wieczora nie dostaną swojej porcji, zaczną chorować i umierać.

- Do wieczora - mruknął Oui-Gon. Coś tu było nie w porządku. Instynktownie czuł, że musiał przeoczyć coś ważnego.

Wściekłość Jemby. Podkradające się zwierzęta. Drżące skały klifu. Żółta mgła...

Przecież na tej wyspie nie ma żadnych zwierząt prócz latających smoków. Załoga sprawdziła to zaraz po wylądowaniu. A żółtej mgły nie było wcale. Jaskinie na klifie wyglądały tak, jakby ktoś je oświetlił od wewnątrz tym dziwnym światłem.

Zaczęła się w nim rodzić pewna nadzieja.

- Powiedz Arconianom, żeby się nie martwili - rzekł.
- Chyba już wiem, gdzie jest daktylit. Wrócę najszybciej, jak się da.
- Pójdę z tobą - rzekła Clat'Ha stanowczym tonem.
- Albo ściągniemy jakąś pomoc...

Oui-Gon rozważał przez moment jej propozycję. Niewątpliwie daktylit był dobrze strzeżony. Ale myśliwskie wyczyny głodnych pterosmoków na pewno przyciągnęły uwagę ludzi na statku. Huttów także. Nie mówiąc już o tym, że sam Jemba zapewne ma wszystko na oku. Ale jeden człowiek, ubrany na ciemno, poruszający się bezgłośnie...

- Wybacz mi, Clat'Ho - powiedział. - Wiem, że nie będziesz skłonna zrobić tego, o co cię poproszę.

-Zrobię, co każesz - odrzekła z ogniem w oczach. - Musimy znaleźć daktylit!

- Nie zrozumiałaś mnie - pokręcił głową Jedi. - Proszę cię, byś została w kabinie.

Grelb zawsze chętnie wykonywał rozkazy, a jego gorliwość jeszcze wzrosła od czasu, gdy Jemba zagroził zjedzeniem jego ogona w razie nieposłuszeństwa. Zgodnie z rozkazem siedział więc teraz na skale, mniej więcej w połowie drogi do jaskiń, z miotaczem w pogotowiu. Miał stąd dobry widok na statek z jednej, a klify z drugiej strony. Jemba wysłał go tu z dwóch powodów - żeby osłaniał górników i Arconian podczas ewakuacji oraz by pilnował, czy nikt nie próbuje wspinać się do jaskiń. Nie dlatego, że nagle zaczął troszczyć się o Arconian, ale uważał ich za swoją własność. Musiał więc o nich dbać jak o każdą inną inwestycję.

Pterosmoki krążyły zbyt wysoko, by dojrzeć pasażerów statku zmierzających w stronę skał. Kryła ich zresztą gęsta poranna mgła. A poza tym Grelb czuwał, gotów zastrzelić każdego skrzydlatego napastnika... każdego Arconianina, który przysporzy kłopotów.

Poprzedniej nocy było bardzo ciemno, co pozwoliło Jembie i jego ludziom niepostrzeżenie przenieść daktylit do jaskiń położonych wysoko na klifie. Większość roboty Jemba zlecił Whipidom. Ich stopy miały miękkie podbicia, mogli więc bezszelestnie wynieść paczki z daktylitem ze statku.



Grelb był pewien, że nikt nie zauważył tej operacji. Reszta górników leczyła rany po bitwie z piratami, a Arconianie byli tak wystraszeni, że nie wychylali nosów ze swych kabin.

Przykrą niespodzianką była wiadomość o zbliżającym się przypiływie i konieczności ewakuacji ze statku. Jemba zaczął się nawet martwić, że ktoś przez przypadek odkryje miejsce składowania daktylitu. Szczęściem jednak wysłał Whipidów do najwyższych jaskiń, prawie na sam szczyt klifu. Mało prawdopodobne, by ktoś tam szukał schronienia przed falą przypiływu.

Mgła zaczynała się już rozwiewać, lecz z zachodu nadciągały ciężkie szare chmury. W powietrzu pachniało solą i daleką burzą. Grelb obawiał się, że ta burza ściągnie na wyspę więcej pterosmoków.

Gdy Arconianie opuszczali statek, jedna postać przykuła uwagę Grelba: Oui-Gon Jinn, Rycerz Jedi. Miał na sobie wprawdzie płaszcz z kapturem zasłaniającym twarz, lecz Hutt i tak go rozpoznał po charakterystycznej sylwetce i harmonii ruchów. Oui-Gon minął szybko Arconian, jakby chciał czym prędzej dotrzeć do skał. To jednak było niepodobne do niego, by spieszył się tak dla własnego bezpieczeństwa.

Grelb wyciągnął z kieszeni parę makrobinokularów i nakierował je na Oui-Gona. I dobrze rozbił. Rycerz nagle zaczął szybko piąć się pod górę. W jego ruchach nie było śladu słabości ani zmęczenia. Zamiast jednak zaszyć się w pierwszej, najniższej położonej jaskini, gdzie zebrali się Arconianie, Jedi nie przerwał wspinaczki. Posuwał się na-

dal w górę wąskim żlebem. Chyba miał nadzieję, że pod osłoną skał nie zostanie dostrzeżony.

Grelb mógłby łatwo wślizgnąć się za nim na skałę i strzelić z ukrycia, ale bał się robić cokolwiek bez zezwolenia Jemby. Pochylił się więc tylko nad swoim przenośnym interkomem i nacisnął guzik. Jemba zgłosił się natychmiast.

Jedi wspina się na naszą skałę - powiedział Grelb.

Gdzie idzie? - warknął Jemba. Wydawał się przestraszony, i nie bez powodu.

- Nie wiem - odparł Grelb. - Ale to mi się nie podoba. Jemba wahał się tylko przez moment.

- Ściągnij posiłki i dopilnuj, żeby nie wrócił z tej przechadzki.

Si Treemba wyglądał na chorego. Zdrowy, zielonkawy odcień jego skóry zmieniał się z wolna w szarość, a drobna łuska pokrywająca ciało zmiękła i stała się wiotka, jakby za chwilę miała odpaść. Minęło już kilka godzin, odkąd Oui-Gon poszedł po daktylit.

Gdy Clat'Ha wyjawiała Obi-Wanowi, że rycerz wyruszył na poszukiwanie daktylitu, chłopca ogarnęło uczucie wielkiego zawodu. Pogodził się już z myślą, że nie zostanie jego Padawanem, ale czy doprawdy Oui-Gon nie mógł go poprosić o pomoc w tej jednej jedynej sprawie?

Oczywiście, nie mógł. Oczywiście, poszedł sam, jak zwykle.

Siedząc w wilgotnej jaskini, Obi-Wan ze zmarszczonymi brwiami patrzył na Si Treembę. Huttowie i Whipidzi

wzięli wszystkie lampy do swojej wielkiej pieczary, więc tutaj tylko słabe odbłyśki oświetlały wnętrze.

Arconian umieszczono w ostatniej grocie. Obi-Wan mógł po drodze przyrzeć się dziwnym kształtom tych jaskiń. Każda z nich miała po cztery metry szerokości w najwęższym miejscu, a wysoka była na dziesięć metrów. Prawdopodobnie były stąd liczne wyjścia na powierzchnię, ale szerokie otwory prowadziły tylko do kolejnych pieczar. Ślady pazurów wskazywały na to, że te skalne tunele wyłobily jakieś zwierzęta, lecz ich legowiska były już od dawna opuszczone.

Ludzie Korporacji Pozaplanetarnej pilnowali wyjścia, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy uciekać. Stalaktyty wisały nad nimi jak błyszczące włócznie. Do siedzenia służyły tylko ostre kamienie. W ciemności jarzyły się fosforyzujące oczy Arconian.

Si Treemba zaczął coś nucić w swoim języku. Pozostali podchwycili melodię. Obi-Wan przysunął się do przyjaciela.

Co to za piosenka? - zapytał cicho.

Śpiewamy naszą pieśń dziękczynną. - Si Treemba na poczekaniu przetłumaczył ją Obi-Wanowi:

*Gdy słońce na zawsze zagaśnie  
i w mroku pograży się świat,  
w jaskini znajdziemy mieszkanie,  
my bracia, ja brat i ty brat.*

*Tam burze szaleją i nigdy im dość  
-tu spokój, tu spokój ład  
Zrośnięci z tą skałą jak mięso i kość  
my bracia, ja brat i ty brat.*

Obi-Wanowi ta piosenka wydała się bardzo smutna, ale dla Arconian najwidoczniej nie. Dla nich jaskinie stanowiły dom. W pojęciu Si Treemby była to najradośniejsza pieśń pod słońcem.

Głosy śpiewaków budziły niepokój. Brzmiały tak, jakby Arconianie szykowali się na śmierć. Obi-Wan nie rozumiał ich rezygnacji. Rwał się do czynu, do walki. Na razie hamował jednak swój zapał. Czy nie powtarzano mu bez przerwy, że jest nazbyt niecierpliwy? Nadszedł teraz moment próby. Musi postępować zgodnie z Kodeksem Jedi i czekać, nawet jeśli przyjaciele będą umierali na jego oczach. Zaciśnął zęby. To było najtrudniejsze ze wszystkiego. Musiał jednak ufać Oui-Gonowi.

Obiecuj mi - powiedział łagodnie do Si Treemby - że nie umrzesz w tej jaskini.

Obiecujemy - uśmiechnął się słabo Arconianin.

Rozumiesz mnie? Musisz przeżyć do czasu, aż Oui-Gon wróci z daktylitem.

Spróbujemy przeżyć - odrzekł Si. - Ale niech on wraca jak najszybciej.

## ROZDZIAŁ 19

Oui-Gon Jinn ostrożnie poruszał się po skale, całkowicie niedostępnej dla zwykłych śmiertelników. W zacinającym deszczu szukał oparcia dla palców dłoni i stóp. Kamień był śliski od wody. Każdy fałszywy ruch groził upadkiem.

Wiedział, że musi się spieszyć. Stracił już sporo czasu, szukając załomów skalnych, w których mógłby się ukryć w czasie wędrówki. Gdyby szedł prostą drogą, byłby zawsąd widoczny jak na dłoni. Teraz jednak znalazł się w miejscu, gdzie nie było żadnej kryjówki. Miał przed sobą gładką skałę i musiał ryzykować.

Na razie większym problemem były Pterosmoki niż Huttowie. Monstra ożywiły się dziwnie. Wiele z nich siadało pod skalnymi nawisami, aby przeczekać burzę. Oui-Gon starał się poruszać jak najciszej, by nie zwracać ich uwagi. Czasami nieruchomiał na długie, męczące minuty i czekał, aż potwory odwrócą głowy w innym kierunku.

„Cierpliwość, tylko cierpliwość - powtarzał sobie ciągle. - Trzeba zachować spokój”. Był to niepisany para-

graf Kodeksu Jedi. Niełatwo jednak zachować spokój, gdy życie tylu istot zależy właśnie od jego pośpiechu.

Ręce miał zdarte do krwi. Błyskawica na moment rozświetliła pejzaż i w pobliżu przetoczył się grom. Niebo było ciemne i groźne. Wiatr świstał i wył w szczelinach skał.

Oui-Gon był teraz zupełnie odsłonięty. Jako mężczyzna słusznej postury, mógł łatwo stać się celem dla całego stada pterosmoków. Każda kolejna błyskawica ukazywała go potworom na nowo, nie mówiąc już o tym, że piorun mógł go śmiertelnie porazić.

Zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech. Jego ubranie nasiąkło wodą i ciążyło jak ołów. Był półprzytomny. Nie doszedł jeszcze do siebie po walce z hersztem piratów. Spojrzał w dal; blisko brzegu pikował właśnie ogromny skrzydlaty gad. Ze złożonymi skrzydłami wyglądał jak srebrzysty pocisk wymierzony w jakiś niewidoczny podwodny cel.

Nie uderzył jednak, lecz płynnie przeszedł w długi ślizg po falach. Rozłożył skrzydła. Jedna z latających ryb wyskoczyła spomiędzy spienionych bałwanów i niespodziewanie zakończyła życie w otwartej paszczy potwora.

Na szczęście pterosmok nie dostrzegł Qui-Gona. Zresztą nie zakosztował dotąd ludzkiego mięsa. Być może nigdy nie widział istot żyjących na lądzie i nie przyszło mu do głowy, by na nie polować.

Rycerz nie miał odwagi spojrzeć w dół. Nad sobą widział kilkaset metrów pionowej skalnej ściany. Z jakiejś szczeliny położonej tuż pod górną krawędzią wydobywał się dziwny

opar, natychmiast unoszony wiatrem. Ten opar miał zdecydowanie żółtą barwę.

Tam powinien być daktylit.

Wspinaczka nie należała do łatwych. Tu już nie było ładnych ścieżek. Dziewicza skała, nie tknięta nigdy ludzką stopą, pięła się w górę, śliska jak szkło. Każdy kamień wyjął się tańczyć pod dotknięciem dłoni czy stopy. A jeśli pozostawał nieruchomy, ranił ostrymi krawędziami obolałe palce Qui-Gona.

Nie było tu roślin, z wyjątkiem drobnego szarego mchu, porastającego wszystko dokoła. Gdyby był suchy, szłoby się po nim jak po dywanie, ale padający od rana deszcz sprawił, że mech był rozmoknięty i śliski.

Rycerz czuł, że prowadzi go Moc, a mimo to zadanie wydawało się prawie niemożliwe do wykonania. Znowu oślepiła go błyskawica. Huk grzmotu wstrząsnął skałą. Kamień pod jego stopami zadrżał niebezpiecznie. Qui-Gon, pchnięty nagłym podmuchem wiatru, przypadł twarzą do skalnej ściany. Zranione ramię pulsowało gorączką.

„Ani kroku dalej” - pomyślał.

Ogień błysnął tuż nad jego głową. Sypnęły się ostre odłamki. W pierwszej chwili myślał, że to piorun, ale tego przecież by nie przeżył.

Miotacz. Ktoś do niego strzela z dołu!

Ostrożnie poruszył głową, starając się dojrzeć cokolwiek u podnóża skały, i dojrzał. Żaden Hutt, nie ukryje się w takim miejscu. To Grelb, zausznik Jemby. Ślizgał się w górę, osłaniany przez licznych Whipidów, którzy znowu otworzyli ogień. Hutt zarechotał szyderczo

Ogień miotaczy lizał skałę wokół Qui-Gona. Świetlny miecz był całkowicie bezużyteczny w tej sytuacji. Nie było jak walczyć i nie było gdzie się ukryć. Pozostał jeden kierunek: do góry.

Grelb chichotał z radości. Jego plan był doskonały. Wiedział, że na ostatnim odcinku drogi Qui-Gon musi się wystawić na strzał. Pozostało więc tylko zająć dogodną pozycję i czekać.

Z początku obawiał się pterosmoków, zachowywał więc ostrożność. Stopniowo jednak czuł się coraz pewniej. Potwory zapewne żywiły się wyłącznie rybami. Nie bał się ich wielkich zębów, ale ostre kamienie raniły go paskudnie, a poza tym w każdej chwili mogły zasypać jego kryjówkę. Hutt marzył już tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się z powrotem na statku.

Ale przedtem musi zabić Qui-Gona.

I zrobi to z największą przyjemnością.

Jedi ciągle piął się w górę, coraz bliżej pieczary z daktylem. Nie miał miotacza, więc nie mógł się ostrzeliwać. Był łatwym celem, i całkowicie bezpiecznym.

Grelb powiedział więc do kumpli:

- Mamy czas. Możemy się trochę pobawić. Whipidzi zapiszczeni z zachwytu. Uwielbiali znęcać się nad bezbronnymi istotami. Pudłowali celowo, by dłużej napawać się strachem Qui-Gona.

- Popatrzcie, jak się wije! - chichotał Grelb. - Zaręczam wam, chłopaki, że dziś jeszcze zjem go na kolację!



Prawda jednak wyglądała inaczej. Jedi nie wiał się, niewrzeszczał ze strachu ani nie próbował uciekać. Nic nie wytrąciło go z równowagi. Powoli, metodycznie pokonywał kolejne odcinki skały, nawet gdy ogień miotaczy osmalił mu włosy.

Whipidów zaczęła ogarniać złość.

- Czy on jest ślepy? - zapytał któryś żalosnym tonem.  
- To w ogóle nie jest zabawne!

Grelb zmarszczył brwi. Nie mógł dopuścić do tego, by kompani czuli się znudzeni czy niezadowoleni. Potrzebował ich lojalności.

- Co powiecie na mały zakład? - zapytał. - Kto pierwszy zdmuchnie mu buty z nóg?

Wspaniale! - zawołał któryś z Whipidów. - Założę się o piątkę, że uda mi się za pierwszym razem.

Za pierwszym razem...? - powątpiewali inni. Zakład stanął.

Aby jeszcze bardziej podgrzać atmosferę, Grelb postawił przeciwko Whipidów! dwa do jednego. Oblizując się smakowicie, spojrzął na Qui-Gona, który niestrudzenie kontynuował wspinaczkę po skale. Dwaj zakładający się Whipidzi odłożyli na chwilę broń. Wstrzymali oddech, czekając, aż pyszałek odda swój wielki strzał.

W końcu ogień błysnął.

Podmuch wystrzału o mało nie przewrócił Grelba. Jedi opierał prawą stopę o niewielki występ skalny. Jedną ręką trzymał się skały, lewą stopą szukał punktów podparcia. Z trudem utrzymywał równowagę. Strzał w nogę zwałiby go w przepaść.

- Strzelaj! - krzyknął Grelb.

Za jego plecami rozległ się jakiś dziwny dźwięk. Coś jakby „urp”.

Odwrócił się i zobaczył ogromnego pterosmoka, który niepostrzeżenie wylądował tuż za nim.

Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się z bliska temu stworowi. Był cały pokryty delikatną srebrną łuską. Miał wielkie żółte oczy, podobnie jak latające ryby na tej planecie. Zamiast przednich nóg miał niewielkie wyrostki na skrzydłach. Ale najbardziej rzucały się w oczy jego zęby - gigantyczne igły, łukowato wyrastające z dziąseł. Przypominał itoriańskiego rekina ludojada.

Ogromny gad pożerał właśnie jednego z whipidzkich strzelców.

- Aaaaaa... - wrzasnął Grelb, ślizgając się co prędzej w stronę najbliższej pieczary.

Whipidzi zapomnieli o Qui-Gonie. Najpierw trzeba było rozprawić się z potworem.

Jedi przebył ostatnie trzy metry ściany i wcisnął się do niewielkiej groty. Zatrzymał się na moment, by złapać oddech i rozetrzeć bolące ramię. Natychmiast owionął go ostry, gryzący zapach siarki i amoniaku. Zajrzał w głąb jaskini. Kryształy daktylitu leżały wprost na gołej ziemi, wydzielając żółtawy poblask.

Ogień miotacza błysnął szybko i niespodziewanie, jak zawsze. Rozległy się odgłosy nieprzerwanej strzelaniny. Rycerz zorientował się, że tym razem nie on jest obiektem ataku. Whipidzi rozpierzchli się po skalnych kryjówkach i stamtąd strzelali do pterosmoków. Ogień miotaczy zwrócił

uwagę gadów; krążyły nad głowami strzelców, zaniepokojone i gotowe do ataku. Wiele z nich siadło na ziemi, otaczając Whipidów groźnym kręgiem.

Oui-Gon ostrożnie wyjrzał ze swojej kryjówki, by zobaczyć tę walkę. Sam przez cały ranek chodził po skałach, nie ściągając na siebie uwagi potworów. Głupi Whipidzi przyciągnęli całe stada.

Pterosmoki skrzeczały głośno, pikując w dół na srebrnych skrzydłach. Kręcąc głowami, przysiadały na kamieniach; ich zęby błyszcząły niesamowicie w świetle błyskawic.

Whipidzi próbowali się kryć za większymi głazami. Któryś wrzasnął z przerażenia, gdy olbrzymi gad sfrunął ze skały i ostrym szponem wyłuskał go z kryjówki.

Oui-Gon odwrócił się, by załadować porcję daktylitu do sakwy ukrytej pod ubraniem. Przez długie minuty Whipidzi walczyli, wrzeszczeli i ginęli pod ciosami straszliwych zębów i pazurów.

Nagle wielki cień przesłonił wejście do jaskini. To jeden z potworów wciskał się w wąski otwór, skrzecząc i wyjąc tak głośno, że drżały skały wokół. Pterosmok zamachał skrzydłami, wczepiając szpony w pęknięcia skał. Wydał raz jeszcze swój skrzeczący krzyk. Oui-Gon wiedział dla-czego.

Wiedział już, że został zauważony.

Gdy Pterosmoki zaczęły atakować, Grelb wycofał się cichcem.

Włochaci Whipidzi rozpoczęli niezgrabny niedźwiedzi

**taniec na śliskich kamieniach. Strzelając na oślep, wydawali dzikie wojenne okrzyki. Zrobiło się kompletne zamieszanie**

**Szczęściem dla Grelba, młodzi Huttowie - jak wszystkie robaki i ślimaki - są przystosowani do wślizgiwania się w wąskie jamy i szybkiego kluczenia między kamieniami. Mógł więc niepostrzeżenie opuścić pole bitwy i zostawić Whipidów samych z pterosmokami.**

**Szybko ślizgał się w dół. Dopiero w połowie drogi odważył się podnieść głowę i spojrzeć w pustą przestrzeń oceanu. Nawet podczas ucieczki trzymał miotacz w pogotowiu. Przyptyw zbliżał się nieubłaganie; woda zalewała już dolne pokłady Monumentu. Wyglądało jednak na to, że Jemba niepotrzebnie uciekł ze statku. Najwyższa fala przyjdzie trochę później. Jutro, pojutrze, ale raczej jeszcze nie dziś. Grelb pomyślał z ulgą, że w razie czego mógłby bezpiecznie przeżyć na skale.**

**Za nim, na skałach, Whipidzi ciągle wrzeszczeli w bitej gorączce. Miotacze bez przerwy bluzgały ogniem. Grelb wołał jednak nie zastanawiać się, jaki będzie ostateczny rezultat tej walki.**

**Głośny skrzek pterosmoka ściągnął całe stado. Gady walczyły między sobą o miejsce przy otworze jaskini i próbowały odepchnąć tego, który pierwszy wsunął tam swoją długą srebrzystą głowę. Błyskawice ciągle rozświetlały niebo i chwilami jakiś promyk światła przedostawał się do groty przez kłębowisko ruchliwych gadzich ciał. Zęby, dłuższe od noży, zbliżały się niebezpiecznie do**

twarży Qui-Gona, tak że czuł na sobie oddech potwora, śmierzący na wpół strawioną rybą.

Położenie zdawało się bez wyjścia, I wtedy nagle poczuł coś dziwnego - jakby słaby, daleki powiew Mocy. Skoncentrował się. Wyraźnie ktoś go wołał. Inny Jedi.

„Obi-Wan mnie potrzebuje” - zrozumiał.

Zdumiony tym odkryciem, wcisnął się w głąb jaskini. Musiał się uspokoić, pomyśleć. Zgodnie z jego wiedzą, chłopiec nie powinien być w stanie nadać sygnału Mocy. Nie jest jego Padawanem i nie ma między nimi żadnych duchowych powiązań.

Nie miał jednak czasu myśleć o tym dłużej. Wezwanie jest wezwaniem. Nie wolno go zlekceważyć. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę swoim wewnętrznym słuchem, podczas gdy pterosmok wpychał się coraz głębiej do jaskini, odcinając mu drogę ucieczki.

I nagle gad wycofał się. Zamachał parę razy ogromnymi skrzydłami i uleciał w powietrze.

Oui-Gon długo podążał ścieżkami Mocy. Teraz Moc krążyła w jego ciele, ponagłając: „Rusz się wreszcie, Obi-Wan czeka”.

Serce waliło mu jak młotem. Zbliżył się do wylotu jaskini i wyskoczył, wiedząc, że dwieście metrów niżej szczyrzą zęby ostre kamienie. Zdał się całkowicie na Moc.

Nie spadał nawet dwunastu metrów. Wylądował prosto na grzbiecie pterosmoka.

Uderzył bestię w kark, aż zadudniło. Skóra gada była mokra i oślizła. Niewiele brakowało, a byłby stracił równowagę. Wczepił się paznokciami w łuskę pterosmoka i

jakimś cudem utrzymał się na jego grzbiecie. Prawe ramię płonęło żywym ogniem. Oui-Gon zacisnął zęby i kierując bestią ruchami nóg, zmusił ją do lotu w dół.

Gad zaskrzeczał ze strachu. Przyleciał tu, by pożreć Jedi. Teraz szarpał głową na wszystkie strony, próbując go zrzucić. Darł się ciągle w ślepej panice, wreszcie zatrzepotał skrzydłami i, kołując, zaczął spadać prosto do morza.

Oui-Gon jedną ręką ścisnął sakwę z bezcennym daktylitem, drugą trzymał się mocno szyi pterosmoka. Używając całej Mocy, jaka w tej chwili była mu dostępna, szeptał do jego ucha:

- Pomóż mi, przyjacielu. Zanieś mnie na dół, do jaskiń. Spiesz się!

Stado, które właśnie polowało na Whipidów, usłyszało rozpaczliwy skrzek wierzchowca Jedi. Gady spojrzały w górę i dostrzegły człowieka na jego grzbiecie. Całą gromadą ruszyły w pościg, czyniąc przy tym hałas nie do opisania.

Pterosmok Oui-Gona złożył skrzydła i zanurkował w dół, do jaskiń. Rycerz nie wiedział, jak długo zdoła utrzymać nad nim kontrolę. Mózg gada był przepełniony okrucieństwem, które narastało gwałtownie pod wpływem głodu.

Grelb lamentował nad śmiercią swoich Whipidów. Wiedział, że żaden z nich nie przeżył. Miotacze zamilkły, a pterosmoki kłębiły się całymi setkami u podnóża skały.

Nagle spojrzął w górę i ku swemu najwyższemu zdumieniu ujrzał Oui-Gona na grzbiecie jednej z tych bestii.

**Nogi się pod nim ugięły. Musiał przysiąc na kamieniu, by opanować drżenie.**

**A więc przeklęty Jedi ciągle żyje i wraca do swoich. To oznaczało tylko jedno: Greib był skończony. Jemba zabije go natychmiast lub będzie zabijał powoli, dla przykładu.**

**Nie po to tak długo i wytrwale walczył o swoją pozycję, nie po to szedł po trupach do celu, by teraz dać się pokonać jednemu nędznemu Rycerzowi Jedi. Jest przecież drugą osobą po Jemie! I uczciwie sobie na to zapracował! Wszystkie morderstwa, tortury, intrygi i matactwa - to wszystko miałyby teraz pójść na marne?**

**Musi zabić Qui-Gona, zanim ten dotrze do jaskini Arconian i zanim Jemba go zobaczy.**

**Najszybciej jak mógł mocnym ślizgiem ruszył w stronę jaskiń.**

## ROZDZIAŁ 20

Arconianie wiedli jak rośliny pozbawione wody. Ich fosforyzujące oczy z wolna zasnuwały się mgłą. Clat'Ha wraz z garstką ludzi, których zdołała skupić wokół siebie, próbowała im jakoś pomóc. Nie można jednak było nic zrobić, najwyżej zapewnić im odrobinę wygody, a i to było bardzo trudne w tych warunkach.

Si Treemba już od godziny leżał w całkowitym bezruchu. Szepnął do Obi-Wana, że w ten sposób oszczędza siły, ale widać było coraz wyraźniej, że Arconianin jest już naprawdę zbyt słaby, by się poruszać.

Obi-Wana ogarniała rozpacz. Nienawidził bezsilności. Nie potrafił siedzieć beczynn timer, podczas gdy jego przyjaciele powoli umierają. Dziesiątki razy ogarniała go pokusa, by ruszyć na poszukiwania Qui-Gona. Ale nie. Nie wolno. Jego zadaniem jest trwać przy Arconianach i ochraniać ich.

Zrozpaczony, oparł głowę na kolanach i wbił wzrok w ziemię. Na co mu trening Jedi? Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny. Wszystko, czego się nauczył, wszystkie mądre wskazówki Yody - teraz były nieprzydatne. Obi--Wan



**czuł, że doszedł do kresu - do kresu walki, nadziei, wiary w siebie. Poniósł klęskę. Nadeszła czarna godzina.**

**Czarna godzina...**

**Nagle ożyła w nim pamięć. Stała mu w oczach pewna wieczorna rozmowa z Yodą. „Gdzie są granice i skąd będę wiedział, że się do nich zbliżam? - zapytał wtedy. - I gdzie mam szukać pomocy, gdy przyjdzie to najgorsze?”. Ukryta w półmroku twarz Yody stężała na moment. „Jeśli sytuacja cię przerośnie - powiedział wolno - jeśli zrobisz już wszystko, co w twojej mocy, w skrajnym zagrożeniu możesz użyć Mocy, by wezwać na pomoc innego Jedi. Jest między wami wszystkimi rodzaj duchowej więzi...”.**

**Oui-Gon mógł zaprzeczać istnieniu tej więzi, lecz Obi-Wan musiał przynajmniej spróbować.**

**W ciemności jaskini zaczął wzywać Moc. Wyczuwał jej słabe pulsowanie, jakieś nieuchwytnie niteczki energii. Próbował je wzmocnić. Nie dowierzając własnym siłom, starał się poczuć obecność mistrzów. Był jednak zbyt młody, by dowolnie władać Mocą. Czuł, że wymyka mu się z rąk. Szepnął cicho: „Wróć szybko, Oui-Gonie! Arconianie umierają bez daktylitu!”.**

**Odpowiedział mu głośny, tubalny śmiech u wejścia do jaskini. Obi-Wan podniósł wzrok. Ze wszystkich sił wzywał Qui-Gona, a zamiast niego pojawił się Jemba.**

**Nieźle, jak na jego możliwości...**

**Ogromny Hutt górował nad nimi, przesłaniając swoim cielskiem cały otwór jaskini.**

**- Jak się macie? - zagrzemiał. - Dobrze, mam nadzieję.**

Bo jeśli nie, to mam trochę daktylitu do sprzedania. Dla nikogo nie zabraknie. Mam nawet co nieco przy sobie... a jako zapłaty żadam tylko waszego życia. Kto pierwszy?

Wśród Arconian rozległy się głośnie lamenty. Kilku z nich zaczęło się czołgać w stronę Jemby. Głód daktylitu sprawił, że gotowi byli na każde poniżenie.

Obi-Wana przepełnił głęboki niesmak. Skoczył na równe nogi.

- Poczekajcie! - krzyknął do Arconian. Zanim zdążył się zorientować, jego świetlny miecz był już na wierzchu. Chłopiec pokonał pięćdziesiąt metrów, przeskakując nad głowami leżących Arconian, i stanął oko w oko z Jembą. Miecz zapłonął w górze, wydając swój zwykły śpiew.

W jego świetle ślimakowate ciało Hutta było dobrze widoczne. Dalej korytarz wypełniały dziesiątki Huttów i Whi-pidów, ale Jemba zasłaniał sobą Obi-Wana. Gdyby doszło do strzelaniny, miałoby kłopoty z trafieniem.

Dobrze, dobrze - zarechotał Jemba. - Cieszę się, że jesteś tak dzielny, nawet gdy nie ma przy tobie twojego mistrza.

Odejdź, Jemba - powiedział Obi-Wan, siląc się na spokój. W środku jednak kipiał w nim gniew, więc głos miał zmieniony, przechodzący w śmieszny falset.

Ciat'Ha stanęła za nim, z miotaczem gotowym do strzału.

- On ma rację - odezwała się twardo. - Nie jesteś tu mile widziany.

- Bardzo dobrze! - huknął Jemba. - Skoro tak, chętnie odejdę i pozwolę umrzeć waszym przyjaciółom.

Zostaw im daktylit! - powiedział Obi-Wan rozkazującym tonem. Ścisnął rękojeść miecza, czując jego żar przez ciężki metal osłony. Ostrze drżało w powietrzu jak wibrująca struna, każdy mięsień prężył się w napięciu. Pot spływał Obi-Wanowi po twarzy. Zaciśnął zęby.

Czyż to nie zadziwiające? - odezwał się szyderczo Jemba do swoich kompanów. - On nawet nie umie używać Mocy. Tak jest napisane w jego papierach. Jest zwykłym rolnikiem, wywalonym ze Świątyni Jedi!

Obi-Wan zmagał się ze swoją wściekłością. Przez kilka długich jak wieczność sekund szukał w sobie spokoju. Nagle przypomniały mu się słowa Qui-Gona. Prawdziwym wrogiem nie jest Jemba, lecz gniew.

W tej samej chwili odzyskał spokój, którego tak potrzebował. Mógł nieomal dotknąć Mocy. Czuł ją wszędzie - w powietrzu, w kamieniach, nawet w Jembie i słabnących z każdą chwilą Arconianach. Poddał się jej, pozwolił, by wypełniła jego ciało i umysł.

Oui-Gon! - wykrzyknął zdumiony. Był tak zajęty przyzywaniem mistrza, że nie zauważył, iż sam jest wzywany. Oui-Gon prosi go o pomoc!

Z drogi, Jembo - warknął. - Oui-Gon jest w niebezpieczeństwie!

Ha, ha! - zarechotał ogromny Hutt, biorąc się pod boki. - Czemu mnie to nie zaskakuje? Może dlatego, że sam naslałem na niego moich ludzi?

Ale nie tylko Oui-Gon był w opałach. Nad wszystkim zawisła jakaś groźba. Oui-Gon nie tylko wzywał pomocy, on ostrzegał.

Teraz zrozumiałem - powiedział Obi-Wan. - Wszyscy mamy kłopoty.

Czego ty chcesz ode mnie, mały? - zapytał Jemba.  
- Żebym spojrzeć na własne buty, a ty wtedy pchniesz mnie swoim mieczem? Ho, ho, ho! Stara sztuczka, ale mnie na to nie weźmiesz. Huttowie nie mają stóp!

Ta rozmowa była stratą czasu. Obi-Wan wyskoczył w górę, przekoziółkował w powietrzu i wylądował tuż przed Jembą. Korzystając z zaskoczenia, skoczył jeszcze raz i opadł twardo na jego plecy. Jemba zawył.

- Ostrzegalem cię! - krzyknął Obi-Wan, ściskając mocniej miecz. Nagłym ciecieniem odrąbał Huttowi ogon i odrzucił go daleko, ponad głowami zdumionych Whipidów.

Jeden z nich dał ognia z miotacza, lecz Obi-Wan uskoczył zręcznie i odbił cios mieczem. Rzucił się w głąb ciemnych tuneli, zostawiając pogoń daleko za sobą. Gnała go przemożna chęć odnalezienia Qui-Gona. Uskrzydlało radosne zdumienie, że był zdolny odebrać jego ostrzeżenie, że jest między nimi duchowa więź.

Daleko za nim Whipidzi wydawali bojowe okrzyki, szykując się do walki, lecz Jemba powstrzymał ich krótko:

- Nie! Zostawcie go. Chłopak jest mój!

## ROZDZIAŁ 21

Tędy, przyjacielu! - szeptał Oui-Gon do swego pterosmoka, wskazując mu ręką wyloty jaskiń. Z góry zbocze wyglądało jak ser z dziurami - setki otworów w wielkiej bryle skały.

Jedi z wysiłkiem utrzymywał kontrolę nad umysłem gada. Starał się łagodnie ściągnąć go na ziemię. Sytuacja stawała się coraz bardziej niepokojąca: znad morza ciągnęły setki, tysiące tych potworów. Jak okiem sięgnąć, nic tylko migotanie ich srebrnych skrzydeł i ogłuszający jazgot, jakby gady rozmawiały ze sobą, przekrzykując się nawzajem.

Oui-Gon widział kiedyś monstrualnie wyrosnięte drzewa w Srebrnym Lesie na planecie Kubindi. Ich liście miały po dwadzieścia metrów szerokości, a kiedy jesienią opadały na ziemię, przez jakiś czas unosiły się w powietrzu jak tratwy gigantów. Lot pterosmoków przypominał to zjawisko. Pterosmoki spływały z ołowianych chmur jak liście w lesie na Kubindi.

Tylko że bestie były śmiertelnie niebezpieczne; i tak jak Oui-Gon kierowały się ku jaskiniom.

Krzyczał w myślach, starając się ostrzec Obi-Wana przed niebezpieczeństwem. Począł, aż pterosmok zbliżył się do wąskiego skalnego garbu w pobliżu grot. Wykorzystał ten moment, by zeskoczyć na ziemię. Przy upadku trochę się podparł rękami, ale mogło być gorzej. Potwór nie zaatakował go. Odleciał z cichym, pełnym wstydu okrzykiem. Jego małe mózdzek pomału wyzwał się spod kontroli człowieka.

Oui-Gon miał już tylko dwa kroki do wylotu jaskini, gdy zobaczył Obi-Wana, który wypadł stamtąd z podniesionym mieczem.

Obi-Wan zatrzymał się i z przerażeniem spojrzał w niebo. Początkowo myślał, że nadciągają ciemne burzowe chmury. Ale zaraz zorientował się, że to stada pterosmoków przesłaniają niebo. Wszystkie ściągały do jaskiń.

Nigdy jeszcze w swoim krótkim życiu nie był aż tak przerażony. Nie mógł sobie nawet wyobrazić czegoś równie strasznego. Nogi się pod nim ugięły, w głowie miał pełną pustkę. Nie wiedział, co robić.

Nagle ujrzął Qui-Gona zmierzającego ku niemu. Znow wstąpiła w niego nadzieja. Jedi wyglądał okropnie, krwawił z licznych ran, jedno ramię zwisało mu bezwładnie -ale żył!

- Znalazłeś daktylit? - krzyknął.

Oui-Gon kiwnął głową.

- Co z Arconianami?

- Żyją, ale coraz gorzej z nimi. Spiesz się, mistrzu. Będę trzymał straż przy wejściu.

Spodziewał się, że Oui-Gon raczej jego wyśle z daktylitem do Arconian. Ale Jedi obdarzył go tylko krótkim spojrzeniem. W ułamku sekundy chłopak zdążył jednak dostrzec w oczach mistrza podziw i szacunek.

-Wrócę niebawem - obiecał Oui-Gon i pobiegł w głąb jaskini.

W tej samej chwili Pterosmoki uderzyły na Obi-Wana. Jego świetlny miecz dwoił się i troił. Syczał, palił, ciął. Potwory ryczały z bólu i co chwila któryś z nich padał, tworząc wokół chłopca barykadę martwych ciał.

Obi-Wan walczył lepiej niż kiedykolwiek, lepiej nawet, niż sądził, że w ogóle potrafi. Wiedział jednak, że na dłuższą metę nie da rady setkom gadów.

Oui-Gon pędził ciemnym tunelem, ściskając w rękach sakwę z daktylitem. Mijał po drodze Huttów i whipidzką straż. Nikt go nie zatrzymał.

W jego spojrzeniu było coś, co kazało im się trzymać daleka. Ale sam Jemba nie czuł respektu przed Jedi. Zagroził mu drogę swym ogromnym cielskiem.

- Stać! - wrzasnął. - Dokąd to? Oui-Gon twardo popatrzył mu w oczy.

- Lepiej każ swoim ludziom obstawić wyjścia - powiedział ostrzegawczo. - Mamy kłopoty.

- Ha! - zaśmiał się Jemba. - Twój głupawy pupilek już próbował tej sztuczki.

W tym momencie jeden z pterosmoków rozwrzeszczał się gdzieś całkiem blisko, tuż koło wejścia do groty. Dźwięk był nagły i przerażająco głośny. Kamienie zadrżały. Odłamki sypnęły się ze stropu jak grad.

**- Zaczęło się - stwierdził Jedi.**

**Wyminął zaskoczonego Hutta i pobiegł dalej, do pieczary Arconian.**

**Grelb wślizgnął się między dwa wielkie głazy i położył w pozycji strzeleckiej, z miotaczem gotowym do strzału. Baczenie obserwował, co się dzieje. Stracił szansę zabicia Oui-Gon Jinna. Duży Jedi był już w środku, poza zasięgiem ognia. Ale mały Jedi strzegł wejścia do jaskini ze swoim świetlnym mieczem.**

**Skoro nie może osiągnąć mistrza, musi na razie zadowolnić się uczniem.**

**Pterosmoki sfruwały dziesiątkami ze skał, otaczając chłopca coraz ciaśniejszym kręgiem. Nawet Grelb podziwiał jego odwagę. Młody Jedi zadawał błyskawiczne ciosy mieczem, nie wykazując przy tym śladu zmęczenia. Nieomal szkoda takiego zabić...**

**Błyskawica rozdarła niebo. Deszcz zabębnił o kamienie nad głową Hutta. Grelb ucieszył się - w tej nad wyraz niewygodnej kryjówce przynajmniej jest sucho.**

**Podniósł miotacz i spróbował wziąć na cel młodego Jedi. Świetlny miecz chłopca siał spustoszenie wśród pterosmoków.**

**„Wszystko czego teraz potrzebuję - myślał Grelb - to krótki moment, gdy będę miał go na muszce. Tylko jeden moment...”**



## ROZDZIAŁ 22

Takiej bitwy Obi-Wan nawet sobie nie wyobrażał. Nie czuł strachu. Pogodził się już z myślą, że zginie. Ten korszmar go przerastał. Chodziło mu już tylko o to, by jak najdłużej chronić Arconian. Może dać im w ten sposób szansę ucieczki.

Gniew go opuścił. Nie czuł nienawiści do głodnych bestii, które wciąż spadały z ciemniejszego nieba.

Moc była jego sprzymierzeńcem.

Czuł wyraźnie, jak kieruje jego ruchami, jak pulsuje w nim i w ciągle atakujących gadach. Odbił się od ziemi, przekoziółkował wysoko w powietrzu i spadł z góry w kłębowisko śliskich ciał. Miecz w jego rękach zdawał się tańczyć i sama walka zaczęła przypominać taniec.

Ale to był taniec śmierci.

Zatracając się całkiem w płynnych, szybkich ruchach, Obi-Wan doznał dziwnej przemiany. Zaczął wyczuwać subtelne zapowiedzi tego, co miało się zdarzyć dopiero za chwilę. Przeczuwał ataki, zanim jeszcze nastąpiły. Intuicyjnie uskakiwał przed ciosami potężnych gadzich ogonów. Najłżejsze drgnienia mięśni pterosmoków podpowiadały

mu od razu, z której strony nastąpi atak. Wokół niego piętrzyły się martwe ciała gadów.

Po jakimś czasie zaczął się jednak oglądać w stronę wylotu jaskini. W jego głowie zrodził się pewien plan. Jeśli zdoła przenieść walkę w to miejsce, ciała zabitych pterosmoków zablokują wejście. A potem następne i jeszcze następne. Ile tylko zdoła. Jeżeli żywe gady nie dostaną się do środka, Arconianie mogą mieć szansę przeżycia.

Z dziką furią rzucił się w tę stronę. Już był blisko ciemnego otworu, gdy nagle dobiegł go dobrze znany tubalny śmiech.

- Dobra robota, mały! - rechotał Jemba. Ogromny Hutt wyśliznął się z mroku jaskini. Trzymał odbezpieczony miotacz.

Obi-Wan ledwo miał czas spojrzeć na niego. Trzy pterosmoki zaatakowały jednocześnie, blokując wejście do groty.

- Pomóż mi! - krzyknął Obi-Wan do Jemby. Hutt mógłby teraz z łatwością zastrzelić potwory. Chłopak nie miał złudzeń: Jemba nie zechce chronić jego, ale na pewno będzie chciał ratować własną skórę.

- Oczywiście - chichotał Hutt. - Pomogę ci... umrzeć! Podniósł miotacz i wycelował prosto w głowę Obi-Wana.

Grelb zwałił się ciężko na skałę. Pterosmoki leżały pokotem u stóp Obi-Wana. Chłopak był już blisko wylotu jaskini. Jego jasna sylwetka była dobrze widoczna na tle ciemnego otworu.

Hutt zaśmiał się cicho do siebie. Taka okazja może się już nie powtórzyć. Szybko pociągnął za cyngiel.

Buchnął płomień - lecz ku zdumieniu Grelba chłopak musiał wyczuć, co się święci, bo w porę uskoczył na bok. Strzał ominął go o centymetry.

Hutt zawył z wściekłości i złożył się do następnego strzału. Teraz już nie mógł chybić. Lecz wtedy właśnie poczuł uchwyt straszliwych zębów na swoim ogonie. Zbyt mocno się skupił na Obi-Wanie. Zapomniał zabezpieczyć tyły. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy wielki gad wygarnął go z kryjówki jak robaka.

Obi-Wan przystanął, dysząc ciężko. Czuł Moc. Wiedział, że ogień nadejdzie znikąd i z groźnym sykiem przemknie koło jego głowy. Nic nie mogło go zaskoczyć.

Natomiast Jembę czekała przykra niespodzianka.

Ogromny Hutt przycisnął swój miotacz do piersi, szykując się do strzału. Nagle spojrzął na kikut swego ogona, jakby jeszcze nie mógł uwierzyć, że naprawdę został okaleczony przez młodego Jedi.

- Ha, dobrze! - zaśmiał się przerażająco.

W zdumieniu patrzył na Obi-Wana, i wtedy uderzył grom, rozbłysło światło. Jemba nie zdążył nawet pomyśleć, że to koniec. Jego ciało osunęło się w mulisty grunt.

Obi-Wan przez moment obserwował tę scenę, ale wrzask pterosmoków natychmiast przywrócił go do rzeczywistości. Musiał się zająć sobą, nie Jembą. Ledwo zdołał uniknąć wielkich zębów gada, który właśnie zaatakował z góry.

**Mówiłem ci, byś się za bardzo nie zbliżał do przeciwnika.**

**- Oui-Gon niespodziewanie wynurzył się z jaskini. Jego miecz świecił ostrym zielonym światłem. - Zdaje się, że potrzebujesz pomocy.**

## **ROZDZIAŁ 23**

Walczyli od tej chwili ramię w ramię, a Moc krążyła pomiędzy nimi, tak że bez słów wiedzieli, co robić, jak się poruszać, gdzie uderzać. Gdy Oui-Gon wysuwał się naprzód, Obi-Wan osłaniał go z tyłu. Gdy Obi-Wan przeskakiwał na prawą stronę, Oui-Gon natychmiast znajdował się po lewej. Działali jak jeden sprawny wojownik w dwóch ciałach, z dwoma mieczami w dłoniach.

Clat'Ha wspomagała ich dzielnie swoim miotaczem. Już wcześniej wraz z Oui-Gonem rozdzieliła daktylit między Arconian, tak że i oni odżyli na tyle, by przyłączyć się do walki. Z Si Treembą na czele pilnowali, by żaden gad nie przedostał się w głąb jaskini.

Plan Obi-Wana okazał się bardzo dobry. Ciała pterosmoków zawały wszystkie wyjścia, blokując dostęp innym. Obi-Wan, Oui-Gon i Clat'Ha zostawiali wszędzie nieliczne straże, a sami posuwali się wciąż dalej i dalej. W każdej kolejnej pieczarze walka zaczynała się od nowa.

Jemba przed śmiercią kazał swoim Huttom i Whipidom bronić jaskiń od zewnątrz; mieli strzelać do pterosmoków atakujących z powietrza. Ta strategia okazała się zgubna.

Wielu górników poniosło śmierć. W końcu Obi-Wan i Oui-Gon zdołali przekonać resztę, że lepiej walczyć u wejścia do jaskini, używając ciał zabitych gadów jako tarczy.

Obaj Jedi wraz z górnikami bronili wejść, lecz gady w tym czasie przegryzały się przez skałę, robiąc nowe otwory. Atakowały obrońców z góry, z boku, od tyłu. Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą.

Wtedy Arconianie wkroczyli do akcji. Niebawem stało się jasne dla wszystkich, że nie są tchórzami. Urodzili się w jaskiniach swojej planety, więc ciemność nie robiła na nich wrażenia. Wydawali się wręcz stworzeni do walki w takich warunkach. Ku zaskoczeniu Huttów i Whipidów obudził się w nich prawdziwy duch bojowy. Walczyli z furją, o którą nikt by ich wcześniej nie podejrzewał.

Żaden gad nie mógł już niepostrzeżenie przedostać się w głąb tunelu. Kiedy przegryzał się przez strop, Arconianie już tam czekali. Walczyli tak zaciekle, że Whipidzi i Huttowie w końcu wycofali się, pozostawiając im zakończenie walki.

Zapadała noc, a Obi-Wan i Oui-Gon ciągle jeszcze zmagali się z gadami przy wejściu do ostatniej z jaskiń. Dym buchał ze smoczyc paszcz, gdy potwory wydawały swój świdrujący wrzask. Nie był to już jednak okrzyk wojenny, lecz sygnał do odwrotu. W pewnej chwili wszystkie naraz krzyknęły dziko, zamachały ogromnym skrzydłami i wzbiły się w niebo. Dwukrotnie jeszcze zakołowały nad wysepką, a potem odleciały gdzieś w dal.

Kiedy bitewna furia wygasła w Huttach i Whipidach, Obi-Wan był pewien, że to zwykły moment odprężenia

Dopiero gdy wielki Whipid podszedł i poklepał go przyjaźnie po ramieniu, gdy Huttowie otoczyli go kołem, bijąc brawo, zrozumiał, że jest w tym coś więcej. Że coś się naprawdę zmieniło między nimi. Dawni wrogowie stali się teraz przyjaciółmi.

Żaden potem nie protestował, gdy chłopiec wraz z Qui-Gonem przeszukali rzeczy Jemby, znaleźli resztę daktylitu i rozdali go Arconianom.

Z powodu głupich rozkazów Jemby ponad trzystu górników Korporacji Pozaplanetarnej straciło życie w tej bitwie. Zostało też zabitych osiemdziesięciu siedmiu Arconian. Żałobny lament wypełnił jaskinie. Arconianie opłakiwali swoich braci.

Obi-Wan zatrzymał się w jaskini, patrząc na przyjaciela. Dla Si Treemby był to czas spędzony wśród swoich. Chłopiec rozumiał to dobrze. Położył mu rękę na ramieniu, ścisnął krótko i odszedł. Nie potrafił inaczej wyrazić współczucia.

Liczba górników spadła po tej bitwie prawie do połowy. Podczas gdy Arconianie grzebali swoich poległych, Clat'Ha snuła już plany na przyszłość. Poszła do jednego z oficerów Jemby, starego Hutta imieniem Aggaba.

Słuchaj, Aggaba - rzekła bez zbędnych wstępów - chcę zatrudnić ciebie i twoich ludzi.

Których? - zapytał podejrzliwie Hutt.

-Wszystkich. Pełnisz teraz obowiązki dowódcy, przynajmniej do czasu, aż wylądujemy na Bandomeer. Wykupię wasze kontrakty.

-I co dalej? - Oczki Aggaby zamrugały przebiegle, jakby mówił: „A co ja z tego będę miał?”

- Zapraszam was do współpracy z naszą korporacją - powiedziała Clat’Ha. - My uczciwie dzielimy zyski między pracowników. To dla was chyba pewien postęp, prawda? Przemyśl to. Gdy dolecimy na Bandomeer, twoi szefowie odwołają cię natychmiast ze stanowiska i postawią kogoś innego na twoim miejscu. Masz teraz szansę, by uciec z Korporacji Pozaplanetarnej i podpisać z nami długoterminowy kontrakt na znacznie lepszych warunkach.

Aggaba nerwowo oblizywał usta i toczył dokoła ogłupiałym wzrokiem.

Moi ludzie nie są tani - odrzekł w końcu. - Mógłbym zażądać, powiedzmy, po dwa tysiące od każdego...

Wszystko, co dostaniesz - odparła Clat’Ha - wróci przecież do twoich chlebodawców. Ale mam lepszą propozycję. Dam ci po dwadzieścia za pracownika, plus osobista premia: dwadzieścia tysięcy. To ode mnie, całkiem ekstra.

Aggaba wybałuszył na nią oczy, nie dowierzając własnemu szczęściu. Clat’Ha nie pokazała po sobie, jak bardzo się cieszy z takiego obrotu sprawy. Hutt przyjął jej warunki wyłącznie dla własnej korzyści, lecz dzięki temu reszta górników odzyska wolność.



## ROZDZIAŁ 24

Oui-Gon wiedział, kiedy musi przyznać się do błędu. Nie docenił Obi-Wana Kenobiego.

Naprawa Monumentu była już prawie na ukończeniu. Mieli wyruszyć o świcie. Rycerz oddalił się od statku, by po raz ostatni spojrzeć na morze. Potrzebował chwili samotności. Chciał przemyśleć wszystko, co się stało.

Fale rozbijały się o skały maleńkiej wysepki, otoczonej przez bezmiar oceanu. Światło pięciu księżyców zaczynało już blednąć niebo na wschodzie przybierało jaśniejszą barwę. Wstawał dzień.

Oui-Gon przypomniał sobie słowa Yody, wypowiedziane zaledwie trzy dni temu: „Czasami w zgodzie z własnym przeznaczeniem nie jesteśmy. Jeśli dziś ucznia nie wybierzesz, los za ciebie dokonać wyboru może”.

Ciągle jednak nie był pewien, czy to los wybrał tego chłopca na jego Padawana, czy też po prostu zostali razem rzućeni w tę przygodę. Czyż nie przypadkiem zdążyli obaj na Bandomeer? Chłopca wysłał tam Yoda, a Qui-Gona - Senat. Konkretnie, sam Najwyższy Kanclerz. Niemożliwe, by Yoda porozumiewał się z nim w tej sprawie

**Ale może jakieś inne siły porozumiały się nad głowami chłopca i rycerza?**

**Razem lecieli na planetę Bandomeer, a Qui-Gona nie opuszczało natrętne przeczucie dotyczące ich przyszłości.**

**Ale nie tylko o przeczucia chodziło. Nie jest łatwo dotknąć umysłu drugiego człowieka. Nawet Jedi ma trudności z porozumiewaniem się na odległość z innym Jedi. Taka więź istnieje tylko między bliskimi przyjaciółmi... lub między rycerzem i jego Padawanem.**

**Po raz pierwszy w życiu Qui-Gon naprawdę nie wiedział, co robić.**

**„Gdy ścieżka jest niepewna, lepiej czekać, ot co”. Yoda powtarzał mu to setki razy. Teraz miał szansę skorzystać z tej rady, choć w głębi ducha przypuszczał, że mistrz próbuje go w ten sposób sprowokować do czegoś wręcz przeciwnego. Ale Yoda ma rację. Nie musi od razu prosić Obi-Wana, by został jego Padawanem. Może jeszcze z tym zaczekać.**

**A przy okazji przyjrzeć się dokładniej chłopcu. Mieli zupełnie inne zadania na Bandomeer, ale przecież nic nie szkodzi od czasu do czasu rzucić okiem na jego poczynania. Jedna przygoda to za mało, by wypróbować nowicjusza. Powinni spotykać się częściej. Dopiero wtedy będzie można orzec z całą pewnością, czy Obi-Wan Kenobi nadaje się na Rycerza Jedi. Bandomeer to niezła próba charakteru. Chłopak nie jest zachwycony misją, którą otrzymał...**

**Qui-Gon uśmiechnął się mimo woli. Co za pomysł, zrobić z niego rolnika! Przecież na pierwszy rzut oka widać,**

że jest stworzony do całkiem innych rzeczy. Powinien zostać Padawanem, to jasne. Ale czy na pewno jego, Oui--Gona, Padawanem?

Będzie zwlekał z decyzją, jak długo się da. Chłopak musi mieć dostatecznie silną osobowość, by pokonać cień swego poprzednika. A cień Xanatosy był długi i bardzo, bardzo głęboki...

Oui-Gon odwrócił się i ruszył w stronę statku, zostawiając za sobą strome skały wybrzeża. Tak, będzie miał oko na Obi-Wana.

Gdzieś w środku męczyło go dziwne poczucie, że wszystko już zostało postanowione i że los w decydującej chwili nie zostawi mu wyboru.

Wszedł w labirynt korytarzy Monumentu i odnalazł kabinę chłopca. Zapukał do drzwi.

Proszę! - zawołał Obi-Wan. Siedział po turecku na łóżku, wpatrując się w górskie zbocza. - Cieszę się, że opuszczam to miejsce - powiedział cicho po słowach powitania. - Widziałem tu zbyt wiele śmierci.

Sprawiłeś się bez zarzutu - powiedział Oui-Gon. - Czuję, że prowadzi cię Moc.

-To było... zdumiewające - odrzekł spokojnie chłopiec. - Sądziłem, że znam Moc. Teraz widzę, że ledwie dotknąłem rąbka tego, czym ona może być. Przez całe lata byłem pewien, że jestem jej godny... co za pycha, Qui-Gonie. Dopiero teraz widzę własną małość. Nie, nie jestem wart, by Moc działała przeze mnie. - Spojrzał na rycerza. - Rozumiesz, co mam na myśli?

Oui-Gon uśmiechnął się.

- Dojrzewasz, chłopcze - powiedział ciepło. - I wierz mi, dobrze cię rozumiem.

Zapadło milczenie, ale w tym milczeniu nie było napięcia. Wcześniej Jedi zawsze w takiej ciszy słyszał nieme, natarczywe błagania chłopca. Teraz czuł tylko jego szacunek dla swoich uczuć i zgodę na własny los. To było prawdziwe zwycięstwo Obi-Wana. Zwycięstwo nad samym sobą.

To zrobiło wrażenie na Qui-Gonie.

- Jutro znów zaczniemy ścigać swoje przeznaczenie - powiedział. - Obawiam się, że na Bandomeer nie będzie lekko...

Obi-Wan podchwycił pełne troski spojrzenie jego ciemnych oczu. Ale gdzieś na ich dnie czaiła się Moc.

- Wiem - powiedział chłopiec. - Ja czuję to samo.

# POSŁOWIE

Obi-Wdn Kenobi wyrósł w Świątyni Jedi na Coruscant, cywilizowanej planecie, gdzie było pełno ludzi i wokół wznosiły się drapacze chmur.

Kiedy Monument dostał się w atmosferę Bandomeer, chłopak nie mógł oderwać oczu od wizjera. Trudno mu było uwierzyć, że gdzieś w galaktyce jest świat pokryty zielenią, pełen dzikich lasów, skalistych gór i bezbrzeżnych oceanów. Tyle przestrzeni! Czy w ogóle może istnieć coś podobnego?

Za to port wyglądał raczej skromnie. Był to po prostu mały hangar, w którym ledwo mógł się zmieścić frachtowiec wielkości Monumentu. Obi-Wan ostrożnie schodził za Qui-Gonem po niepewnych schodkach.

Oficer policji planetarnej czekał już na nich. Ujrzawszy z daleka Qui-Gona, spiesznie ruszył w jego stronę.

- Witamy, witamy! - zawołał. - Moje biura są do pańskiej dyspozycji.

Oui-Gon skinął głową.

- Może mi pan powiedzieć, co się tutaj właściwie dzieje?  
Najwyższy Kanclerz mówił, że potrzebujecie mojej pomocy.  
Czemu właśnie mojej?

- Sadzę, że to się wyjaśni w swoim czasie - odrzekł oficer.

Długo potrząsał ręką Qui-Gona, rozplywając się w grzecznościach. A potem wręczył mu jakieś pismo. Rycerz rzucił na nie okiem i w jednej chwili jego twarz zmieniła się nie do poznania.

Obi-Wan zerknął mu przez ramię. Było tam tylko jedno zdanie, a brzmiało ono: „Czekam na ten dzień”.

I podpis: „Xanatos”.

